Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 98-99 (Rok VI, Nr 3-4) Maj-Czerwiec, 1946 Cena (Price) 3/-

PRZED NOWĄ PRÓBĄ

Szybka demobilizacja żołnierzy polskich, zapowiedziana przez min. Bevina dnia 22 maja, i wcielenie zdemobilizowanych do korpusu przysposobienia, organizacji z ustawodawstwem i dowództwem brytyjskim, oznacza ni mniej ni więcej tylko likwidację samodzielnych polskich sił zbrojnych. Można mieć wątpliwości co do sposobu zatrudnienia Polaków, można zastanawiać się nad tym, ilu będzie skierowanych do kopalń, a ilu do innych zawodów i jakich, można zgadywać, gdzie i w jakim tempie zostaną przewiezieni ci, którzy się na Wyspach Brytyjskich nie pomieszczą,— jedno nie ulegnie zmianie: polskie siły zbrojne zaczną — o ile nie zajdą szybko na gruncie międzynarodowym nieprzewidziane wypadki, na co się dziś nie zanosi — być rozwiązywane i dorobek sześciu lat walk i ofiar może ulec zniszczeniu.

Taka jest rzeczywista treść deklaracji majowej rządu brytyjskiego i żadne pocieszanie się nic tu nie pomoże. Można tylko i trzeba walczyć z próbami zagłady.

Los polskich sił zbrojnych został zdecydowany co najmniej już na konferencji w Jałcie, a ostatecznie przypieczętowany w momencie cofnięcia uznania legalnemu rządowi przez mocarstwa sprzymierzone w lipcu roku ubiegłego. Nie wolno było się łudzić, że z chwilą upadku samoistnego państwa polskiego można będzie trwać na wygnaniu w dotychczasowych formach politycznych i wojskowych.

Decyzja porzucenia Środkowo-Wschodniej Europy przez aliantów zachodnich musiała — wcześniej czy później — doprowadzić do całkowitej kapitulacji wobec wszystkich żądań sowieckich, związanych z życiem narodów w tej części świata. Sytuacji w niczym nie poprawi kłopotliwe pytanie, co Wielka Brytania w zamian za te ustępstwa—z cudzych coprawda ziem — otrzymała? Odpowiedź brzmi — dalsze żądania Rosji w punktach, które już bezpośrednio zagrażają bezpieczeństwu i interesom państw anglosaskich. Wystarczy wymienić Persję, Niemcy, Triest, Dodekanez, Afrykę włoską, Mandżurię, ażeby mieć obraz uroszczeń sowieckich i ażeby stwierdzić, że pole bitwy dyplomatycznej przeniosło się daleko poza Europę Środkowo-Wschodnią, obejmując wszystkie sporne kwestie na wszystkich kontynentach. Stąd cisza śmiertelna zaczyna zalegać obszary europejskie, wydane na łup Sowietom, a coraz gwałtowniejszą walka toczy się na terenach, gdzie państwa anglosaskie nie mają już prawie nic do oddania.

Postanowienie rozwiązania polskich sił zbrojnych zbiegło się z zaciskaniem obręczy komunistycznej w kraju. Ostatnia wizyta Bieruta i tow. w Moskwie świadczy o coraz ściślejszym włączaniu Polski do sowieckiego organizmu społeczno-polityczno-gospodarczego. Rzeczą znamienną jest uzbrajanie armii rządu warszawskiego przez Rosję. Rozmowy w Moskwie wskazują również na to, że komuniści łatwo władzy w Polsce z rąk nie wypuszczą i że liczyć na zmiany w układzie sił politycznych w kraju drogą wyborów w istniejących warunkach, kiedy odbywa się szybkie włączanie wschodniej części Niemiec w obręb Rosji Sowieckiej, kiedy Czechy okazały się tak mało odporne na wpływy komunistyczne, nie można. Jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni morzem czerwonym i zdani głównie na własną odporność, na własne siły.

To też nie wierzyliśmy i nie wierzymy w powodzenie prób zdobywania wpływu politycznego w systemie sowieckim od wewnątrz, poprzez udział w komunistycznym rządzie lub wybory. Nie ta droga prowadzi do zwycięstwa. Jesteśmy dziś świadkami niemocy metody "opozycyjnej", uprawianej przez ludowców. Udział w komedii referendum i szukanie zbawienia w wyborach, które z kolei nie mogą się odbyć w systemie sowieckim w sposób jako tako prawidłowy, prowadzi od jednego rozczarowania do drugiego i osłabia na dłuższą metę odporność polskiego narodu.

Faktem dodatnim i trwałym natomiast jest postawa wsi polskiej. Świadomie używamy terminu "wieś polska", gdyż zjawisko, o którym piszemy, wybiega daleko poza ramy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Nigdy chłopi nie należeli do jednego stronnictwa. Przeciwnie, znaczna część chłopów należała do Stronnictwa Narodowego. Istniało też kilka partyj ludowych. Chłop w ogóle, a polski w szczególności, nie lubi komunizmu i jakby organicznie przeciwstawia mu się. Stąd zaciekła kampania, jaką rozpętali komuniści przeciw wsi. Wierzymy, że chłop polski się nie podda i że go komunizm nie zmoże. Mocna postawa wsi polskiej, która szybko przekształca świadomość klasową w kierunku — narodowej, wsparta przez patriotycznego robotnika, rzemieślnika i inteligenta, dobrze wróży o przetrwaniu naszego narodu w okresie niewoli i terroru, jaki szaleje dziś na ziemiach polskich.

Cóż tedy czynić wobec nowego uderzenia, które przychodzi ze strony sprzymierzeńca?

Przede wszystkim nie trzeba fatalistycznie przyjmować, że sprawa polska jest pogrzebana, ponieważ zdecydowano rozwiązać polskie siły zbrojne. Podobne decyzje już podejmowano, a nie zdołano usunąć sprawy polskiej z gruntu międzynarodowego. Z oceny sytuacji, jaką podaliśmy wyżej, wynika, że gruntownych zmian w Europie Środkowo-Wschodniej nie można się spodziewać, dopóki nie wybuchnie z całą siłą główny konflikt między mocarstwami. Rozprawa — pokojowa albo wojenna — zbliża się i zażegnać jej nie sposób.

W zbliżającym się na skalę światową konflikcie wypłynie znów w kształtach realnych problem polski. Powinniśmy wreszcie — nauczeni doświadczeniem i przykładem innych — dbać o własne interesy, działać, walczyć za własną, polską sprawę, gdyż nikt dbać o nas za nas nie będzie. Innymi słowy trzeba unikać wysługiwania się obcym celom, cudzym interesom, a prowadzić samodzielną, dyktowaną polskimi interesami politykę.

Zanim przyjdzie sposobność do walki bezpośredniej, trzeba trwać i nie dać się rozbić, oderwać od kraju, wessać przez otaczające nas organizmy państwowo- narodowe.

Zachowanie łączności duchowej z krajem i spoistości organizacyjno-politycznej na wygnaniu — oto jedno z głównych naszych zadań. Trzeba szukać sił w sobie, w polskiej tradycji, w polskich doświadczeniach. Pomyślniejszy układ stosunków w świecie potrafimy wyzyskać tylko pod warunkiem własnego wysiłku mięśni i mózgu. Państwo polskie niezależne odbudujemy na tle zmiennego położenia międzynarodowego w oparciu o własne siły w kraju i na emigracji.

TADEUSZ SZYMAŃSKI

FRANCUSKIE "NIE"

NIEDZIELA 5 maja 1946 r. pozostanie pamiętną datą w dziejach Francji i Europy. W tym dniu naród francuski odrzucił w powszechnym referendum 10 i pół milionem głosów, uchwaloną na krótko przedtem przez większość socjalistyczno-komunistyczną nową konstytucję Republiki Francuskiej. Zwolennicy konstytucji zebrali około 9 milionów 300 tysięcy głosów tak, że przewaga odpowiedzi "nie" wyraża się cyfrą ponad 1 milion 100 tysięcy głosów; zwolennicy "nie" reprezentują 53% ogółu wyborców.

Mogłoby się wydawać, że zdobycie tak niewielkiej większości przez przeciwników konstytucji zmniejsza wagę referendum do mało znaczącego wydarzenia z dziedziny polityki wewnętrznej Francji. Tak wszakże nie jest. Referendum przeprowadzone naprawdę swobodnie i demokratycznie stanowi pierwszą od zakończenia działań wojennych wielką klęskę komunizmu w Europie i tak też zapewne zrozumieli je zarówno kierownicy polityki amerykańskiej, jak konferujący właśnie w Paryżu Mołotow z 200-osobową delegacją sowiecką, jak też, prawdopodobnie bardziej uradowany z porażki komunistów, niż zmartwiony z powodu klęski własnej partii, Leon Blum, rokujący o pożyczkę w Ameryce.

Żeby zrozumieć wynik i znaczenie majowego referendum, trzeba cofnąć się w czasie nieco wstecz. Od chwili wyzwolenia przez armie anglo-amerykańskie w lecie 1944 r. Francja żyła pod nieustannym i wciąż rosnącym terrorem psychicznym francuskiej partii komunistycznej, odbierającej podobnie jak przed wojną rozkazy wprost z Moskwy. Partia ta jest najlepiej zorganizowana i zdyscyplinowana we Francji, posiada grono przywódców wprawdzie niezbyt inteligentnych, ale energicznych, bezwzględnych i bezczelnych, mistrzów w codziennej taktyce politycznej; dysponując ogromnymi zasobami pieniędzy, pochodzącymi ze źródła niewiadomego, a raczej dobrze wiadomego, wyzyskując kapitał uczuć patriotycznych, zebrany przez komunistów w czasie ich udziału we francuskim Ruchu Oporu ("Resistance") przeciw Niemcom w latach 1941–1944 — partia komunistyczna postanowiła przy pomocy propagandy opartej na demagogii i kłamstwie za wzorem Goebbelsa, zdobyć władzę we Francji na drodze legalnej, nie rezygnując zresztą z użycia siły i metod rewolucyjnych, jeśliby droga legalna zawiodła. Czytelnikowi polskiemu nie trzeba długo tłumaczyć, jak wielkim niebezpieczeństwem dla Anglii, Ameryki i całej kultury chrześcijańsko-zachodniej byłoby zainstalowanie się komunistów na zawsze w rządzie francuskim. Najlepiej określił to znany pisarz, sam ekskomunista Andre Malraux słynnym powiedzeniem, że "komuniści francuscy u władzy, to Moskwa rządząca w Paryżu".

Pierwsze wybory do Konstytuanty w październiku 1945 r. dały komunistom podstawę do najśmielszych nadziei. Stali się pomimo porażki w referendum stronnictwem najliczniejszym w parlamencie, a we wspólnym rządzie z socjalistami i Republikańskim Ruchem Ludowym (M.R.P.) wywierali tak silny wpływ na rozdwojonych socjalistów, że wkrótce odegrali rolę czynnika głównego w polityce wewnętrznej Francji. Większość socjalistów pod kierunkiem Bluma widzi niebezpieczeństwo komunistyczne i chce Francję przed nim ratować; grozi to wszakże zawsze rozłamem w partii socjalistycznej i utraceniem wpływów w Generalnej Konfederacji Pracy (C.G.T.), centrali związków zawodowych, opanowanej w czasie wojny przez komunistów.

Taktyczny sojusz komunistów w rządzie z katolicką partią M.R.P. rozbrajał ich głównych przeciwników w parlamencie, bo i radykali i partie prawicowe poniosły w wyborach w październiku 1945 poważną klęskę, przez co nie mogły zagrozić wszechwładzy trzech skoalizowanych wielkich stronnictw. Zręczne zaś usunięcie generała de Gaulle'a z szefostwa rządu, na które złożyło się wiele skomplikowanych przyczyn — umożliwiło komunistom w nowym gabinecie słabego premiera socjalistycznego Gouin'a uzyskanie jeszcze większych wpływów. Odtąd gra ich staje się jasnaotworzyć większość socjalistyczno-komunistyczną w parlamencie celem opracowania i uchwalenia konstytucji, która by w przyszłości umożliwiła legalne objęcie władzy przez komunistów. Socjaliści w czasie nieobecności Bluma poszli na tę śliską grę, której sami padliby ofiarą jako jedni z pierwszych na wypadek zwycięstwa komunistów.

Konstytucja, uchwalona pośpiesznie 19 kwietnia,w swej "deklaracji praw" nie uwzględniała ani wolności prasy, ani wolności nauczania, a prawo własności poważnie ograniczała; z przyszłego Prezydenta Republiki robiła śmieszną figurę człowieka, który "myśli i rozważa" oraz reprezentuje (nie miałby nawet prawa łaski, a na powstanie rządu żadnego wpływu), całą władzę ustawodawczą i wykonawczą oddawała w ręce wszechwładnego, jedynego Zgromadzenia, które wpływałoby ponadto na całą władzę sądowniczą przez delegowanie swych przedstawicieli politycznych do Najwyższej Rady Sądowej. Przebiegle sformułowana ordynacja wyborcza, uniemożliwiająca zwykłemu wyborcy jakikolwiek wpływ na formowanie list wyborczych, a oddająca deputowanego całkowicie w moc partyj politycznych i ich komitetów — dopełniała dzieła.

Plan był zręczny i śmiały. Problemy konstytucyjne zawiłe i czasami abstrakcyjne nie bardzo interesowały szerokie masy. Propaganda miała dokonać reszty. Cała maszyna agitacyjna partii komunistycznej i jej przybudówek poszła w ruch. Robotników wabiono hasłami klasowymi i głaskaniem dumy zawodowej: "partia robotnicza obejmie władzę", chłopom obiecywano, że ich własność będzie nietknięta, oszczędzano chwilowo katolicyzm; wzywali do głosowania "tak" komunizujący intelektualiści i rektor uniwersytetu paryskiego, artyści filmowi i C.G.T., niektóre grupy b. kombatantów i związki kobiet. Dopiero teraz odkryli Francuzi, jak głęboko sięgnęły już macki komunistyczne. W okręgu paryskim rozrzucono ulotki: "Matki, jeśli chcecie, aby wasze dzieci dostawały w przyszłości więcej mleka, głosujcie "tak" w referendum". A przecież wiadomo, że nigdy—nawet w czasie wojny—nie było we Francji tak źle z żywnością, jak ubiegłej zimy pod rządami "czerwonych ministrów". Nic nie szkodzi. Hasło "Thorez au pouvoir" miało pokryć najgrubsze kłamstwa.

Cóż mógł temu planowi akcji świadomej i konsekwentnej przeciwstawić obóz antykomunistyczny? Organizacyjnie przedstawiał się on bardzo różnolicie: obok prawicy zjednoczonej w Republikańskiej Partii Wolności (P.R.L.), obok radykałów broniących instytucji senatu i tradycji III-ej Republiki, przeszedł do obozu zwolenników odpowiedzi "nie" także "Republikański Ruch Ludowy" (M.R.P.), zrywając na terenie konstytucyjnym kompromis z komunistami. Za głosowaniem "nie" rozpoczęli czynną agitację biskupi i księża, przeciwstawiali się nowej konstytucji znawcy ustrojowi z André Siegfriedem na czele, po cichu zwalczali nową konstytucję nawet lokalni działacze socjalistyczni.

Ale najsilniejszym sojusznikiem zwolenników "nie" okazał się zdrowy rozsądek i charakter narodu francuskiego. Kraj samorzutnie zrozumiał grożące mu niebezpieczeństwo. Francuzi są narodem inteligentnym i bezczelna propaganda komunistów odniosła wreszcie skutek wręcz przeciwny. Nie pomogły pochwalne mowy Thorez'a ku czci Descartes'a w Sorbonie; Francja zrozumiała, że jeśli będzie rządzona przez Thorez'a, wtedy kłamstwo zastąpi jasność metody Descartes'a, zjawi się znów cień obozów koncentracyjnych.

Odtąd zwolennicy "nie" nabrali siły. Ich propaganda była dyskretna ale bardziej skuteczna, docierała wszędzie. Jest przesadą twierdzenie, że Francja chciała skrytykować rząd za braki żywnościowe czy częściowe bankructwo polityki planowania gospodarczego, lub usunięcie de Gaulle'a, jakkolwiek wszystkie te czynniki odegrały pewną rolę. Komuniści narzucili krajowi swoisty plebiscyt: "z nimi lub przeciw nim". Francuzi podjęli w większości wyzwanie. "Nie głosować — to stchórzyć". Ludzie wolni głosują "nie". Oto mała karteczka, jaka zjawiła się tysiącami na wielkich afiszach, wzywających hałaśliwie do aprobaty konstytucji. Karteczka poskutkowała: w całej Francji ilość ludzi wstrzymujących się od głosowania wyniosła tylko 20%; w samym Paryżu, który pomimo "czerwonych przedmieść" dał większość odpowiedzi "nie," głosowało rekordowo 88% wyborców. Każdy prowadził agitację w swym kółku: intelektualiści w salonach i kawiarniach, kobiety u swych mężów i synów, sklepikarz u swych klientów, dyskutowano zawzięcie, choć spokojnie na wsi i w mieście.

Rezultat był imponujący: po raz pierwszy w historii Francji naród odpowiedział 10 milionami i 500 tysiącami głosów "nie" tym właśnie, którzy go już uważali za gotowy do wzięcia w obrożę komunistycznego totalizmu. Jak w czasie pierwszej wojny światowej Niemcom, tak 5 maja 1946 odpowiedział komunistom: "Ils ne passeront pas". ("Nie przejdą"). Z tego punktu widzenia wynik referendum jest o wiele ważniejszy, niż wyborów w dniu 2 czerwca r.b.

Dwa są fronty walki w świecie współczesnym o wolność Polski i Europy oraz o uratowanie i odrodzenie cywilizacji chrześcijańskiej: front walki z imperializmem Rosji Sowieckiej i walki z komunistycznym totalizmem. Nie łudźmy się, iż wynik francuskiego referendum będzie miał zbyt wielkie znaczenie, jako porażka Sowietów. Francja zbyt tradycyjnie związana jest niebezpieczeństwem niemieckim z każdą Rosją, zbyt silne posiada tradycje tych związków, aby mogła odrazu przerzucić się na stronę obozu antysowieckiego. Tej niebezpiecznej iluzji należy unikać w politycznych obliczeniach. Francja będzie mogła natomiast odtąd prowadzić swobodniej politykę równowagi między Anglosasami i Rosją Sowiecką, co przy wzrastającej presji komunistycznej nie było dotąd możliwe. Dla sprawy polskiej i Polaków korzyść stąd oczywista i wyraźna, ponieważ francuskie istotne interesy nie są sprzeczne z naszymi, często zaś mogą być zbieżne. Powrót Francji na teren polityki międzynarodowej jako czynnika samodzielnego i poważnego był zawsze postulatem polityki polskiej, która w silnej Francji widzi pierwszy krok do przywrócenia zdrowej równowagi europejskiej zachwianej wybujaniem dwu imperializmów: niemieckiego i sowieckiego.

Nie sposób jest wszakże dość mocno podkreślić znaczenia wyniku referendum francuskiego w dziedzinie walki obronnej Europy przed niszczącą siłą totalizmu komunistycznego. Istnieje w Europie od chwili klęski Niemiec w masach narodów prawdziwy kult wolności, uczucie zdrowe i twórcze, płynące z instynktu samozachowawczego, uczucie stwierdzone milionami ofiar z życia ludzkiego, złożonymi w walce z hitlerowcami. Ten kult wolności umieli dotąd komuniści obchodzić, uspokajać, czarować. Po raz pierwszy obrócił się on świadomie przeciw nim w francuskim referendum i są wszystkie szanse na to, iż raz uświadomiony będzie już działał przeciw nim stale, we wszystkich krajach, gdzie słowa "wolność i godność człowieka" nie straciły swej istotnej siły. Zjawienie się tej siły wolnościowej na kontynencie europejskim właśnie we Francji, prawdziwej wraz z Anglią ojczyźnie wolności politycznej i istotnej demokracji — jest rzeczą całkiem naturalną. Zapowiada ono wszakże pierwsze zwiastuny owego odrodzenia się europejskiego, zachodniego ducha oporu przeciw idącym ze Wschodu siłom, niszczącym same podstawy naszej cywilizacji. Odrodzenie się kultury europejskiej na gruzach wszystkich totalizmów, a na zasadach wolności narodu i człowieka jest odtąd o wiele bliższe. A takie właśnie odrodzenie niesie Polsce nadzieję i możność odzyskania swobodnego bytu politycznego. Dlatego francuskie "nie" 5 maja 1946 posiada tak pozytywne znaczenie dla Europy i dla nas. Jaśniej zrobiło się w Paryżu i w całej "douce France"; jasność ta nie zatrzyma się zbyt długo na granicy sowieckiej "żelaznej kurtyny" dzielącej Europę na dwoje, ale przeniknie przez nią i doda wiele sił narodom walczącym o swe wyzwolenie i sprawiedliwość. Jeśli Francja pozostanie krajem wolności i nie ugnie czoła przed Wschodem, to Polacy zaliczą dzień 5 maja 1946 do szczęśliwych dat także swojej historii w tym ciężkim dla nas okresie próby i walki.

TADEUSZ SZYMAŃSKI

Paryż, 10 maja 1946.

Przyp. Redakcji: Wyniki wyborów do Zgromadzenia Konstytucyjnego, odbytych d. 2 czerwca, potwierdziły poglądy, wyrażone w artykule powyższym, o zahamowaniu fali komunistycznej, choć komunizm jest we Francji ciągle dużą siłą.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

ŁATWIZNY I ANACHRONIZMY

ZASADNICZYM brakiem polskiego życia politycznego jest niechęć do rzetelnego myślenia aż do końca, powierzchowność i płynąca z nich łatwizna polityczna. Przejawami tej łatwizny w życiu Polski międzywojennej były takie zjawiska jak "Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem" w imię hasła: dzielmy się po prostu na zwolenników i przeciwników Marszałka, lub z drugiej strony t. zw. *Blok Morges* pod hasłem: dzielmy się na przeciwników i zwolenników *Sanacji*. Wyrazem tej samej łatwizny jest w tej chwili hasło, które dotąd nie przybrało jeszcze formy organizacyjnej, ale jest szeroko lansowane: dzielmy się na kapitulantów i antykapitulantów, tylko ten jeden podział ma znaczenie, wszystko inne to upiory przeszłości.

Nie zamierzam zaprzeczać, że podział na zwolenników walki o niepodległość państwa polskiego i zwolenników ugody z Sowietami jest w tej chwili podziałem najważniejszym politycznie. Ale postawienie sprawy w ten sposób, że tylko ten podział jest ważny a wszystkie inne są przestarzałe, niesłuszne, fikcyjne — jest fałszywe. Jest ono właśnie typowym wyrazem łatwizny umysłowej. Można iść razem w obronie wszystkiego, co się da w obecnym momencie politycznym obronić z samodzielności sprawy polskiej, można odpierać ataki wroga, można na pewnych nawet bardzo ważnych odcinkach zawiesić współzawodnictwo stronnictw, nie wolno jednak zawiesić samodzielnego myślenia, nie można przerywać funkcjonowania stronnictw politycznych jako szkół myślenia i działania. Można i często trzeba równać krok na najmniejszego, nie należy równać myślenia na najpłytszego. A to właśnie grozi w tej chwili polskiej myśli politycznej za granicą.

POLSKA A ROSJA

Polska jest pod okupacją sowiecką, jakkolwiek formalnie inaczej chciałby to ktoś nazwać. Stąd problem rosyjski, w sposób nieunikniony, zajmuje pierwszy plan naszego myślenia politycznego. Odruchowo, jeśli tak można powiedzieć, chcielibyśmy znaleźć sposób rozwiązania tego problemu "na zawsze." W historii prawie nigdy nie da się rozwiązać jakiegoś problemu na zawsze. Hitler chciał rozwiązać problem Polski "na zawsze" i Niemcy mają Polaków pod Frankfurtem. Z tych tęsknot do "rozwiązania" problemu rosyjskiego i ze zrozumiałego urazu psychicznego na punkcie sowieckim pochodzi sugestia, że wszyscy "niekapitulanci" powinni za cel działania politycznego przyjąć rozbicie czyli "dezintegrację" Rosji i stworzenie na jej zachodzie niepodległych państw narodowych, a w pierwszym rzędzie ukraińskiego, szukających oparcia przeciw Rosji na zachodzie, w pierwszym rzędzie oczywiście w Polsce.

Program "dezintegracyjny," niegdyś występujący w postaci programu federacyjnego, nie jest nowy. Opiera się on na nęcącym rozumowaniu: jesteśmy w kleszczach między Niemcami a Rosją; Niemiec jako państwa jednolitego narodowo rozbić trwale nie można; Rosja nie jest narodowo jednolita, więc można próbować ją rozbić i w ten sposób wyrwać się z żelaznych kleszczy. Rozumowanie to mogło mieć pewne podstawy przed półwieczem, choć już wówczas przeceniało siłę ruchów narodowościowych na terenach między etnograficzną Polską a etnograficzną Rosją; wobec wielkiej fali budzenia się świadomości narodowej u ludów środkowo-europejskich wydawać się przecież mogło, że fala ta przejdzie i na wschodnią Europę.

U szczytu tej fali, w roku 1920-tym próbował Piłsudski zbudowania niepodległej Ukrainy. Spotkało go niepowodzenie nie tyle militarne, bo ono było raczej skutkiem, ile przede wszystkim polityczne. Dla Ukrainy było *jeszcze* za wcześnie i *już* za późno. Potem jeszcze przez jakiś czas można się było wahać w jakim kierunku idzie ewolucja, ale niezbyt długo. Sowiety ostro wzięły się do kwestii ukraińskiej i przy pomocy komunizmu, znacznie lepiej niż to robił carat przy pomocy prawosławia, cementować zaczęły naród już nie rosyjski, ale sowiecki. Przypominam sobie w przededniu niemal wojny ożywione dyskusje w Polsce na temat możliwości wydarcia się z owych żelaznych kleszczy. Ulegając sam chwilami urokowi rozumowania "dezintegracyjnego" wysuwałem jednak zawsze pytanie zasadnicze: czy na Ukrainie istnieje naród ukraiński, czy istnieją siły zdolne do stworzenia, choćby z pomocą obcą, własnego państwa. Od tego pytania zależało wszystko.

Wojna ostatnia dała na nie odpowiedź przykrą, ale wyraźną. Niemcom, którzy mieli za sobą całą siłę i przygotowanie polityczne oraz współpracę Ukraińców galicyjskich, nie udało się stworzyć nawet cienia pozoru odrębnego narodu ukraińskiego na Ukrainie. Ich wyprawa wschodnia miała tylko ten skutek, że miliony wyewakuowanych i deportowanych Ukraińców już nie powróciło ze wschodu do domu. Nie wiem ile prawdy a ile przesady jest w twierdzeniu, że na Ukrainie sowieckiej znajduje się obecnie wszystkiego czternaście milionów Ukraińców, ale twierdzenie to nie jest nieprawdopodobne. Bardzo wiele przemawia za tym, że Ukraina w bardzo krótkim czasie stanie się pojęciem czysto geograficznym a nie etnicznym. Ale nawet gdyby tak nie było, gdyby na Ukrainie w większości miał pozostać lud ukraiński, to po półwieczu życia w cywilizacji sowieckiej wszelkie ślady fali budzenia się narodowości w dziewiętnastym stuleciu zaginą, a zaczynanie od nowa wydaje się zadaniem tak trudnym, że aż nieprawdopodobnym, w każdym razie zaś nie ma podstaw do budowania czegokolwiek w naszym okresie na istnieniu narodu ukraińskiego na wschód od Zbrucza.

Na fikcjach budować nie wolno, choćby były ponętne, ze złudzeniami trzeba się rozstawać, choćby to było bolesne. Wiem ile kompleksów poruszam takim postawieniem sprawy i ile wywołam reakcji u wielu czytelników. Jeżeli w polityce mści się na dłuższą metę oportunizm, to mści się równie i marzycielstwo. Pomiędzy nimi jest dość miejsca dla rzeczywistej ideowości i dalekowzroczności.

Jeżeli nie budujemy przyszłości Polski na programie "dezintegracyjnym" to liczymy się tym samym z tym, że pomiędzy Polską a Rosją może powstać to czego dotąd nie było jeszcze — granica etnograficzna, że podobnie jak w średniowieczu znikły ludy oddzielające Polaków od Niemców, zniknąć mogą ludy oddzielające Polaków od Rosjan i sąsiadować będą bezpośrednio naród polski z narodem sowieckim. Z tego zdają sobie sprawę w Moskwie i chcą tę przyszłą granicę ustalić jak najdalej na zachodzie, w taki sposób, który z góry ustawi Polskę w sytuacji jak najbardziej niedogodnej w stosunku do Sowietów. I tu jest dziejowe znaczenie naszej walki w obronie Lwowa i Wilna, w obronie polskich ziem wschodnich. Gdybyśmy wierzyli w przyszłą Ukrainę i Białoruś, sprawę rozgraniczenia z nimi moglibyśmy traktować znacznie mniej dramatycznie, niż musimy traktować sprawę rozgraniczenia terytoriów narodowych polskiego i sowieckiego.

POLSKA A NIEMCY

Druga łatwizna polskiej myśli politycznej na Zachodzie, w chwili obecnej, ma postać rozumowania "europejskiego" i najczęściej łączy się z pierwszą. Rozumowanie to jest następujące: nie możemy walczyć jednocześnie z Zachodem i Wschodem, a więc musimy iść z Zachodem lub ze Wschodem; Rosja jest w tej chwili głównym niebezpieczeństwem, a więc trzeba będzie znaleźć kompromis z Niemcami; trzeba się jak najprędzej znaleźć w Europie razem z nimi.

Rozumowanie to jest równie anachroniczne jak rozumowanie "dezintegracyjne." Jeżeli Niemcy będą mogli myśleć tak, jak myśleli w ostatnich trzech ćwierciach wieku, to nie pogodzą się nie tylko z utratą Szczecina i Wrocławia, ani nawet Gdańska i Opola, ale także nie pogodzą się nigdy z utratą Poznania i Torunia, a nawet z utratą Łodzi i Białegostoku. Jeżeli zaś będą myśleli inaczej niż w ostatnich kilku pokoleniach, to pogodzą się z wieloma rzeczami.

Jeżeli kiedykolwiek ma nastąpić współżycie polsko-niemieckie w jakichś ramach europejskich, takich, czy innych, to jest ono możliwe tylko wtedy, kiedy te dwa narody zbliżą się do siebie pod względem siły. W Niemczech panuje w tej chwili nie tylko zmęczenie wojenne, ale pustka psychiczna. Pod tym względem Niemcy stanowią rażący kontrast z Polską. U nas, mimo okupacji sowieckiej i wyniszczenia niemniejszego niż w Niemczech, dominuje jakiś ogólny optymizm, niekiedy naiwny, niekiedy cyniczny, uderza żywotność i wiara nieraz nieuzasadniona w lepszą przyszłość. W Niemczech żyją pewne nadzieje na takie czy inne kombinacje, ale pachnie grobem. Może to się zmienić, ale tak jest na razie. W tym właśnie momencie szukanie kompromisu a nieumacnianie prowizorycznych granic narodowych byłoby z naszej strony nonsensem i dowodem zupełnego nierozumienia psychologii otaczających nas narodów. Warunkiem znośnego współżycia polsko-niemieckiego jest względna przynajmniej równowaga sił, warunkiem zaś tej równowagi sił jest posiadanie przez Polskę całego Śląska aż po Nisę Łużycką wraz z jego przemysłem. Drugim warunkiem jest prężność demograficzna polska i spadek przyrostu naturalnego w Niemczech. Ten drugi warunek jest zupełnie prawdopodobny do spełnienia przy różnicy nastroju w obu krajach.

Polska w Drugiej Wojnie Światowej poniosła klęskę, ponieważ utraciła niepodległość. Może z niej wydobyć jedno tylko zwycięstwo: granicę Odry. Granica ta jest najlepsza ze wszystkich możliwych zachodnich granic narodowościowych Polski, a chwila klęski Niemiec po Drugiej Wojnie Światowej najlepszą być może chwilą dla jej ustalenia.

POLSKA A INTERMARIUM

Z powyższymi dwoma rozumowaniami uproszczonymi łączy się trzecie: jesteśmy za słabi, by obronić się przeciw potężniejszym sąsiadom, trzeba znaleźć jakieś trwałe rozwiązanie; połączmy się z narodami mieszkającymi między Niemcami a Rosją a stanowić będziemy siłę. Zjednoczenie to ma być rodzajem panaceum na wszystkie bolączki polskie; wymyślono już nawet dla niego pięknie brzmiącą nazwę *Intermarium.* Nie neguję bynajmniej korzyści, jakie wynikną dla narodów środkowo-wschodniej Europy z bliższej współpracy czy nawet zjednoczenia politycznego w jakiejś formie. Błędne tylko wydaje mi się całkowicie traktowanie tego zbliżenia jako panaceum. Najpierw, narody te razem nie tworzą jeszcze żadnej siły. Rozumowanie jest i tu anachroniczne. Nie żyjemy w czasach kiedy o sile decydowała możność wystawienia wielkiej ilości dywizji piechoty z fuzjami i kawalerii z lancami. O sile decyduje nie tyle ilość ludności, co przemysł. Dziesięć słabości gospodarczych razem dodanych nie stanowi siły. Pewną siłą mogłaby być zjednoczona Europa środkowo-wschodnia tylko wtedy, gdyby potraktować przemysły całego Śląska i Czech jako całość i wydatnie je rozbudować. Warunkami wstępnymi *Intermarium* są: granice Odry dla Polski i jak najściślejszy związek polsko-czeski, innymi słowy zastąpienie roli Niemiec w tej części Europy przez Polskę i Czechy. Zaczynanie sprawy od innego końca jest owym rysowaniem map, z którego tak śmieli się Anglicy.

Związek z mniejszymi narodami naszej części Europy może dać wzmocnienie stanowiska i Polski i tych narodów, ale jako kamień węgielny polityki polskiej jest anachronizmem. Tak można było rozumować w chwili upadku monarchii naddunajskiej, ale nie w chwili zastosowania bomb atomowych, kiedy nie tylko Francja, ale i całe imperium brytyjskie okazuje się jeszcze za słabym tworem. Dziś trzeba myśleć w innej skali.

POLSKA A ANGLOSASI

Przeciwko granicy Odry wysuwa się zarzut: Anglicy nigdy się na to nie zgodzą, bo będą potrzebowali Niemiec do obrony przed niebezpieczeństwem naporu sowieckiego. W sprawie "Intermarium" uważa się znowu, że Anglosasom będzie bardzo zależało na posiadaniu w nim sojusznika. I te argumenty trącą anachronizmem.

Ciężar zagadnień światowych i teren ewentualnych przyszłych konfliktów przesunął się z Atlantyku na Pacyfik, z Europy do Azji. Skali jego nie wyznacza już ograniczony przestrzennie teatr europejski, ale olbrzymi teatr azjatycko-pacyficzny, gdzie padły pierwsze w dziejach ludzkości bomby atomowe. Jeśli dojdzie w przyszłości do Trzeciej Wojny Światowej, to teren Europy będzie w niej terenem drugorzędnym. Niemcy bez Ruhry i bez Śląska nie są na wypadek takiego konfliktu zbyt ważnym partnerem. Będą miały taki może ciężar gatunkowy jak Serbia w Pierwszej a Polska w Drugiej Wojnie Światowej.

Decydujący dla układu w świecie nie jest stosunek Anglii do Rosji, ale stosunek Ameryki do Rosji. Dla Ameryki zagadnienie granic między państwami środkowej Europy jest równie odległe jak dla nas zagadnienie granic między państwami środkowej Ameryki. Decydującym czynnikiem dla oceny słuszności granicy polsko-niemieckiej w oczach Amerykanów będzie, czy ziemie sporne w danej chwili zamieszkują Polacy czy Niemcy, oraz który kraj jest zdolny użyć ich dla zrobienia konkurencji przemysłowi amerykańskiemu. Zagadnienie praw historycznych do pasa szerokości dwustu kilometrów nie będzie dla nich istotne. A przy tym czyż można bawić się w przewidywania kiedy Anglosasom będzie potrzebniejsza Polska czy Niemcy? Albo Niemcy czy kraje naddunajskie?

POLSKA A ŚWIAT

Wracam do sprawy skali. Bardzo częstym błędem w polskim rozumowaniu politycznym jest przyjmowanie niewłaściwej skali: za dużej i jednocześnie za małej. Sprawy granic polskich wydają się wielu "nowocześnie" myślącym ludziom małostkowe; widzą wszystko w "wielkiej" skali środkowoeuropejskiej, ba nawet europejskiej. Skala ta jest za mała. Dla Polski jest w tej chwili już ważniejsze co się dzieje w prowincji Szansi w Chinach od tego co się dzieje w Rumunii. Natomiast nigdy nie przestanie być najważniejsze, czy Polska jest i jaka jest. Można robić poświęcenia z granic Polski dla zmiany układu światowego, nie warto absolutnie dla zmiany układu w samej tylko Europie środkowej.

Problem przyszłości świata przeniósł się do Azji, ściślej do Chin, jak to niegdyś przewidywał Dmowski. Rosja w tej wojnie wygrała w Europie, przegrała w Azji. Istotnym celem wojennym Ameryki było opanowanie Azji. Japonia została dokładnie pokonana; półmiliardowe Chiny stoją otworem dla produkcji amerykańskiej; pojawia się możliwość szerokiej interwencji gospodarczej w Indiach. Ameryka widzi swoją przyszłość w Azji. Z całym zapałem, siłą i pasją ruszyła do zorganizowania Chin. Aby zorganizować Chiny jako rynek, trzeba je wprzód zorganizować jako państwo. Państwo, które nie może nie być wielkie.

Rosja zachodnia jest poważnie zniszczona. Punkt ciężkości przemysłu sowieckiego i rolnictwa sowieckiego z Europy przesunął się za Ural. Przemysł ciągnie się od Magnitogorska poprzez Kuźnieck prawie do granicy Chin, śpichrzem Związku ma być Kazakstan. W tych warunkach jedynym naprawdę groźnym sąsiadem Rosji i jedynym państwem, mogącym przerosnąć ją w skali, są Chiny. Sowiety zrobią wszystko co w ich mocy, by nie dopuścić do zorganizowania Chin z pomocą amerykańską; Ameryka zrobi wszystko, aby do tego doprowadzić.

Europejskie nabytki Związku Sowieckiego mają w tej chwili charakter nabytków ofensywnych, robią wrażenie *place d'armes.* Ale charakter ich może okazać się w gruncie rzeczy obronny, mogą stać się, by użyć tego samego języka, *glacis.* Bo Sowiety mogą być zbyt zaabsorbowane w Azji, by wytężać siły na dynamiczną politykę europejską. I nawet nie musi dojść do otwartego konfliktu w świecie, by nie były zmuszone szukać na zachodzie spokoju i z panowania nad sąsiadami europejskimi przejść na porozumienie z nimi. Bez względu zaś na to, czy dojdzie do konfliktu międy Rosją a Anglosasami czy nie i czy Rosja go przegra czy nie, jej uwaga będzie coraz bardziej zwrócona na wschód, coraz bardziej zajęta narastającym problemem chińskim, coraz bardziej azjatycka. Tego czynnika nie może tracić z oczu polityka polska.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

GLOSSATOR

POLSKA W USTROJU RAD

I. KONSTYTUCJA MARCOWA

W MANIFEŚCIE bez daty, wydanym w lipcu 1944 r., Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego oświadcza: "Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug. Żołnierz polski bije się na ziemi ojczystej". W tym momencie "Naród walczący z okupantem niemieckim o wolność i niepodległość stworzył swą reprezentację, swój podziemny parlament — Krajową Radę Narodową. . . . Krajowa Rada Narodowa powołana przez walczący Naród, jest jedynym legalnym źródłem władzy w Polsce. Emigracyjny "rząd" w Londynie i jego delegatura w kraju jest władzą samozwańczą, władzą nielegalną. Opiera się na bezprawnej faszystowskiej konstytucji z kwietnia 1935 r. . . . Krajowa Rada Narodowa i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego działają na podstawie konstytucji z 17 marca 1921 r., jedynie obowiązującej konstytucji legalnej, uchwalonej prawnie. Podstawowe założenia konstytucji z 17 marca 1921 r. obowiązywać będą aż do zwołania wybranego w głosowaniu powszechnym, bezpośrednim, równym, tajnym i stosunkowym Sejmu Ustawodawczego, który uchwali, jako wyraziciel woli Narodu, nową konstytucję. . . ."

W ten sposób PKWN uznał ustrój, obowiązujący w Polsce od kwietnia 1935 r. za bezprawny, a władze powołane w tym ustroju za nielegalne. Lipiec r. 1944 miał się stać nawrotem do legalizmu konstytucyjnego, opartego o ustawę marcową. W okresie wydania manifestu Rząd Polski w Londynie był uznawany za legalną reprezentację Rzeczypospolitej przez wszystkie państwa, z wyjątkiem nieprzyjacielskich. Rosja Sowiecka zerwała z nim wprawdzie stosunki dyplomatyczne, lecz prowadziła rozmowy. Swoisty legalizm PKWN wyglądał więc nie tylko wątpliwie ze stanowiska ówczesnej rzeczywistości politycznej, lecz zakrawał również na pewną samowolę wobec mocodawcy. Mocodawca zezwolił jednak milcząco na to posunięcie, ale nie zajął zdecydowanego stanowiska. Powstała sytuacja dwuznaczna. Władza, która uznała rząd dotychczasowy za bezprawny, sama nie nazwała się rządem, lecz była zmuszona poprzestać na nazwie Komitetu. Jaki był zatem cel tego wysunięcia konstytucji marcowej? Była to przede wszystkim pogróżka pod adresem rządu londyńskiego, próba pozbawienia go atutu legalizmu w zbliżającej się rozgrywce. Poza tym chodziło o stworzenie pozorów, że PKWN opiera się nie tylko na bagnetach rosyjskich, lecz również na pewnych siłach społecznych w Polsce. Temu chwytowi propagandowemu posłużyła konstytucja marcowa, mająca niewątpliwie swe strony ujemne, lecz ściśle związana z burzliwym okresem pierwszych lat niepodległości. Ludziom nieznanym, przybyłym zza żelaznej kurtyny wschodu, niezwiązanym z historią dwudziestolecia niepodległej Polski, potrzebny był jakiś, formalny choćby wyraz łączności z krajem, którym mieli rządzić, z historią jego myśli politycznej, z tradycją wolnościowego ustroju. Ta potrzeba była objawem zewnętrznej słabości reżimu. Szukając związków z polskością, nie mógł widocznie znaleźć innych, niż to oparcie się na wątłej, niezwykle nieudolnie pomyślanej zasadzie legalizmu konstytucji marcowej.

Rządzić na podstawie pewnej konstytucji można wówczas, gdy istnieją władze, przez tę konstytucję przewidziane i powołane w sposób w niej określony, lub gdy istnieje przynajmniej możność powołania tych władz. Władze przewidziane w konstytucji marcowej przestały jednak istnieć na długo przed wojną, a KRN i PKWN były jedynie władzami faktycznymi, powstałymi w sposób nic wspólnego z konstytucją marcową nie mający. W tych warunkach oświadczenie o stosowaniu konstytucji marcowej można było rozumieć, *per maxima inconcessa*, jako zapowiedź przestrzegania przepisów tej konstytucji przez inne władze, wprawdzie niekonstytucyjne, lecz dostosowane w swym ustroju i działalności do konstytucyjnego systemu. Zapowiedź ze stanowiska nowego reżimu raczej paradoksalna. Konstytucja r. 1921 była bowiem klasycznym wykwitem okresu zachodnioeuropejskiego liberalizmu. Oparta na wzorach Trzeciej Republiki i tradycjach Wielkiej Rewolucji, wprowadziła ustrój, którego zasadami były suwerenność Narodu, trójpodział władz, niezawisłość sądów, ochrona własności prywatnej, nietykalność praw obywatelskich. Dlatego też zapowiedzi tej nie zrealizowano. Proklamacja konstytucji marcowej została pustym dźwiękiem, hasłem bez znaczenia i treści. Na gruzach okupacji niemieckiej powstał ustrój, z konstytucją marcową całkowicie sprzeczny, zaczęły działać władze, którym idea wolności sumienia, prasy, zgromadzeń i stowarzyszeń, idea niezawisłych sądów i sądowych gwarancyj wolności osobistej były tak obce, jak demokracjom Zachodu obce są założenia "prawdziwych demokracyj" Wschodu. Ludzie, wychowani w zupełnie odmiennym światopoglądzie politycznym, oświadczyli, że chcą wprowadzać w życie urządzenia państwowe z gruntu im obce, nieznane i niezrozumiałe. Było to wielkie nieporozumienie.

Już pierwszy programowy akt ustawodawczy PKWN — dekret z 6 września 1944 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej, wprowadzający wywłaszczenie bez odszkodowania, był sprzeczny z art. 99 konstytucji marcowej. Artykuł ten dopuszcza wywłaszczenie, lecz jedynie na mocy ustawy i za odszkodowaniem. Sprzeczności takich jest wiele, szczegółowa ich analiza wymagałaby osobnej pracy. Można tu wspomnieć tylko o niektórych.

Władze centralne po objęciu władzy przez PKWN otrzymują nazwę "resortów". Ustawa z 21 lipca 1944 r. zawiera nominacje kierowników tych "resortów". Ustawa z 11 września 1944 r. uprawnia KRN do powołania rządu "w momencie, uznanym przez siebie za odpowiedni". Wszystkie te przepisy nie mają nic wspólnego z konstytucją marcową. Ustawa z 31 grudnia 1944 r. "o powołaniu Rządu Tymczasowego R.P." robi jednak nieudolny nawrót do tej konstytucji; wymienia ona istniejące już z mocy konstytucji lub innych przepisów prawnych urzędy Prezesa Rady Ministrów i ministrów, tworzy nieprzewidziane przez tę konstytucję urzędy dwóch wiceprezesów Rady Ministrów i powołuje 7 nowych ministrów, nominacje zaś Prezesa Rady Ministrów i ministrów zastrzega już Prezydentowi KRN.

Ustawa z 15 sierpnia 1944 r. o tymczasowym trybie wydawania dekretów z mocą ustawy zawiera delegację ustawodawczą dla PKWN, całkowicie sprzeczną z konstytucją marcową zarówno w jej brzmieniu pierwotnym, jak i w brzmieniu noweli z 2 sierpnia 1926 r. Ustawę tą ogłoszono w Dzienniku Ustaw dwukrotnie.

Pomimo uznania władz, powołanych z mocy konstytucji kwietniowej, za bezprawne, uznaje się za ważne akty prawodawcze, wydane przez te władze. Nie czyni się jednak tego konsekwentnie. Dekret z 28 grudnia 1944 r. wprowadza wojenną cenzurę korespondencji, jakkolwiek istnienie stanu wojennego czyniło ten dekret zbędnym. Stan wojenny znosi się zarządzeniem Prezydium Krajowej Rady Narodowej z 16 listopada 1945 r., cenzura listów zagranicznych jednak, wbrew art. 106 konstytucji, zostaje.

Ustawa z 6 maja 1945 r. o majątkach opuszczonych i porzuconych wiąże sądy orzeczeniami władz administracyjnych; dekret z 4 listopada 1944 r. o środkach zabezpieczających w stosunku do zdrajców narodu łącznie z rozporządzeniem wykonawczym pozwala, wbrew art. 97 konstytucji, na przetrzymywanie aresztowanego bez nakazu sądowego przez czas bliżej nieokreślony; ustawodawstwo karne działa nieraz wstecz i wprowadza odpowiedzialność zbiorową. Nawet nomenklatura prawna ("dekrety z mocą ustawy") i podpisy na ustawach i dekretach pozostają w sprzeczności z konstytucją marcową. Nie zastosowano nawet tych przepisów konstytucji, których zastosowanie było elementarne, łatwe i proste, a nie mogło przy tym wyrządzić reżimowi żadnej szkody.

W ostatnich czasach wreszcie wysunięto sprzeczny z zasadą pięcioprzymiotnikowych wyborów (art 11 konstytucji) projekt głosowania na wspólną listę wyborczą oraz projekt referendum, nie mieszczący się zupełnie w systemie konstytucji marcowej.

II. RADY NARODOWE

Właściwą konstytucją "wyzwolonej" Polski jest ustawa z 11 września 1944 r. o organizacji i zakresie działania Rad Narodowych, czterokrotnie zmieniana. Stanowi ona, że "do czasu powołania stałej politycznej reprezentacji Narodu, w myśl zasad konstytucji z 17 marca 1921 r., organem Narodu w zakresie ustawodawstwa oraz kontroli nad działalnością Rządu i w zakresie nadzoru nad radami narodowymi jest Krajowa Rada Narodowa". Organami "planowania działalności publicznej oraz kontroli nad rządowymi i samorządowymi organami wykonawczymi są gminne, miejskie, powiatowe i wojewódzkie rady narodowe".

Wynika z tego, że Krajowa Rada Narodowa jest instytucją o mieszanej właściwości rzeczowej; pełniąc władzę ustawodawczą, wykonywa również funkcje administracyjne. Lokalne rady narodowe są organami stanowiącymi samorządu; dekret z 23.XI.44 r. nazywa je prawno-publicznymi korporacjami samorządu terytorialnego.

Skład rad narodowych opiera się na systemie delegacyj. Wysyłać swych delegatów do rad mogą tylko zrzeszenia i organizacje "demokratyczno-niepodległościowe", które zgłoszą swą działalność we właściwych organach PKWN i stoją na gruncie mocy obowiązującej konstytucji marcowej. Obowiązek rejestracji łączy się tu zatem z osobliwą weryfikacją polityczną, której założeniem jest wątpliwa teza, że kto stoi na gruncie konstytucji marcowej, ten jest równocześnie zwolennikiem reżimu sprzecznego z tą konstytucją.

Właściwym jądrem KRN są "członkowie powołani przed wejściem w życie niniejszej ustawy". Ustawa nie zawiera żadnych bliższych danych co do sposobu powołania tych członków. Poza tym w skład Rady wchodzą przedstawiciele organizacyj politycznych, delegowani na podstawie "porozumienia ich instancyj kierowniczych", przedstawiciele organizacyj gospodarczych, których liczbę ustala Prezydium KRN według ogólnikowych wskazówek ustawy, przedstawiciele rad wojewódzkich oraz rad Warszawy i Łodzi po pięciu od każdej z tych rad, przedstawiciele organizacyj polskich za granicą, jeżeli się podporządkowały KRN, w niewiadomej liczbie i wreszcie dokooptowani przez KRN na wniosek jej Prezydium wybitni i zasłużeni przedstawiciele wojskowości, nauki, literatury, sztuki i pracy społecznej, w liczbie, nie przekraczającej 1/4 ogólnej liczby członków Rady. Ta liczba ogólna nie może przekraczać 444 członków. Podkreślić należy rolę Prezydium w dobieraniu członków Rady.

Powoływanie lokalnych rad narodowych odbywa się na podobnych na ogół zasadach.

Z powyższego wynika, że KRN ma być nie tylko reprezentacją polityczną, jaką był Sejm w systemie konstytucji marcowej, lecz również, i to w przeważającej mierze, reprezentacją interesów gospodarczych, zawodowych, naukowych, literackich, artystycznych, społecznych, samorządu terytorialnego i wojska.

Programy polityczne stronnictw obejmują oczywiście zagadnienia gospodarcze, zagadnienia potrzeb regionalnych, oświaty, wojska itp., lecz traktują te zagadnienia ze stanowiska potrzeb ogólnych, ustalając w obrębie swego programu właściwą ich hierarchię. Nawet stronnictwa o charakterze klasowym mają zazwyczaj w swym składzie reprezentantów różnych grup społecznych, broniąc nie jednego szczególnego interesu danej grupy, lecz całego kompleksu jej interesów. Zrzeszenia gospodarcze, zawodowe, naukowe itp. reprezentują przede wszystkim wąsko ujęty interes pewnej gałęzi gospodarstwa, zawodu lub nauki; związane tym interesem naczelnym, mogą być poza tym zróżniczkowane politycznie, bądź wykazywać obojętność lub oportunizm w stosunku do zagadnień polityki ogólnej.

Te różnorodne i różnowartościowe reprezentacje interesów, włączone do parlamentu bez pewnej całkującej je idei nadrzędnej, czyniłyby z niego polityczną mozajkę, instytucję, skazaną na bezwład, niezdolną do działania i decyzji. Tak jednak zazwyczaj nie jest; parlamenty tego rodzaju, jak na to wskazuje doświadczenie Włoch faszystowskich i Rosji Sowieckiej, są ciałem niezwykle jednolitym i homogenicznym, uległym instrumentem w rękach grupy rządzącej. Dzieje się tak dlatego, że członkowie parlamentu w tych systemach tylko formalnie reprezentują interes grupy, od której otrzymali mandaty. W istocie są oni reprezentantami partii rządzącej, związani jej dyscypliną i podlegli jej kierownictwu. Za fasadą gry sprzecznych interesów tkwi całkowita ich jedność. Przedstawicielstwo interesów jest fikcją, rzeczywistością jest reprezentacja ideologii reżimu. Korporacyjny parlament Mussoliniego był zjednoczony przynależnością swych członków do partii faszystowskiej. Ordynacja wyborcza sowiecka z 11 października 1945 r. pozwala na wysuwanie kandydatów do Rady Najwyższej organizacjom publicznym, stowarzyszeniom robotniczym, organizacjom partii komunistycznej, związkom zawodowym, spółdzielniom, organizacjom młodzieży, zrzeszeniom kulturalnym, zgromadzeniom robotników i włościan, żołnierzom w jednostkach wojskowych itd. Wyłoniony w ten sposób, pozornie mozajkowy parlament jest w istocie rzeczy ciałem niezwykle uniformistycznym dla tej prostej przyczyny, że wszystkich kandydatów łączy wspólna więź o nadrzędnym charakterze: muszą oni być członkami lub przynajmniej sympatykami partii komunistycznej.

Ustawa o radach narodowych poszła po linii tych koncepcji. W celu utrzymania możliwie jednobarwnego składu KRN zapewniono jej Prezydium przeważający wpływ na dobór jej członków. Wyniki mogły jednak nie być całkowicie zadowalające, ponieważ przedstawiony system może działać sprawnie tylko w warunkach ustroju monopartyjnego. Spełnia on wówczas dwa zadania: stwarza iluzję oparcia składu parlamentu na możliwie najszerszych warstwach społecznych, a jednocześnie daje parlament politycznie jednolity. W ustroju choćby formalnie wielopartyjnym może on nie spełnić żadnego z tych zadań.

KRN jest, jak to już zaznaczono, nie tylko władzą ustawodawczą i kontrolującą rząd, lecz również zwierzchnim organem administracji, nadzorującym działalność lokalnych rad narodowych (samorządu). Te zaś rady narodowe sprawują nadzór nie tylko nad organami wykonawczymi samorządu, lecz również nad lokalną administracją rządową, oraz nad instytucjami i osobami, pełniącymi funkcje zlecone w zakresie administracji i gospodarki publicznej. Jest to odwrócenie zasady, przyjętej w konstytucji marcowej, że państwo sprawuje nadzór nad samorządem (art. 70). W ustroju rad samorząd nadzoruje państwo.

Samorząd jest reprezentacją interesów lokalnych. W warunkach współczesnych nie ma jednak interesów ściśle lokalnych, każdy interes miejscowy, jak np. budowa drogi publicznej, założenie szpitala lub szkoły, splata się z interesami innych miejscowości lub nawet z interesami ogólnopaństwowymi. W państwach, które weszły na drogę planowania gospodarczego, to powiązanie interesów jest niezmiernie ścisłe; każda inicjatywa lokalna jest tam fragmentem w wykonaniu ogólnego planu. Powstaje zatem potrzeba harmonizowania interesów lokalnych z interesami całości. Zadanie to spełnia przez nadzór nad samorządem administracja rządowa, będąca w założeniu wyrazicielką interesu ogólnopaństwowego. Jak jednak wytłumaczyć odwrotną zasadę, nadzoru przedstawicielstwa interesów lokalnych nad organami, reprezentującymi interes państwowy? W reżimach, nie znajdujących oparcia w masach społecznych, o zakresie władzy publicznej rozstrzyga czynnik zaufania politycznego, jest on najważniejszą kwalifikacją do sprawowania władzy. Administracja rządowa, na którą składają się zapewne w dużej mierze elementy starej biurokracji, nie ma tego zaufania, poddano ją zatem kontroli organów lokalnych, powiązanych ściśle z właściwym ośrodkiem dyspozycji politycznej i od niego uzależnionych.

Właściwym instrumentem reżimu są rady narodowe, związane ze sobą hierarchicznie i uzależnione od rad wyższego stopnia. Władzą zwierzchnią i nadzorczą wszystkich rad narodowych jest KRN; ustala ona linię wytyczną i nadaje kierunek pracom tych rad, może rozwiązać każdą niższą radę, zawiesić lub wykluczyć jej członków, uchylić każdą jej uchwałę, pozostającą w sprzeczności z obowiązującymi przepisami.

Z drugiej strony, każda rada niższego stopnia podlega nadzorowi rady wyższego stopnia; ważniejsze uchwały rady niższej podlegają zatwierdzeniu rady hierarchicznie wyższej; przydium tej rady może wstrzymać każdą uchwałę rady niższego stopnia.

Ponieważ rady narodowe kontrolują administrację rządową i samorządową, a nadto są bliżej nieokreślonym organem "kontroli społecznej" same zaś podlegają nadzorowi rad wyższych, a na najwyższym szczeblu — nadzorowi KRN, stworzono tu koncentrację dyspozycji politycznej w ręku rad, której punktem szczytowym jest KRN. W systemie takim rola polityczna rządu staje się drugorzędna. Jeżeli linię wytyczną i kierunek prac rad narodowych ustala KRN, rady te zaś mają — według słów ustawy — kontrolować działalność administracji lokalnej ze stanowiska jej zgodności z zasadniczą linią działalności KRN, to rząd zostaje pozbawiony inicjatywy politycznej, jego funkcje sprowadzają się do czynności o administracyjnym charakterze w obrębie narzuconego mu kierunku działania.

W ustroju parlamentarnym polityka rządu musi odpowiadać woli większości parlamentu. Rząd ma jednak w tych granicach swobodę inicjatywy i dyspozycji aparatem administracyjnym. W przedstawionym tu systemie inicjatywa polityczna należy do KRN, aparat zaś administracyjny zostaje od niej uzależniony.

Jest to oparty na wzorach sowieckich system rządzenia za pomocą rad.

Każda rada lokalna powołuje swój organ wykonawczy (wydział wojewódzki, powiatowy, zarząd miejski i gminny). W ustroju organów wykonawczych utrzymano zasadę zespolenia administracji rządowej z samorządową przez poruczenie przewodnictwa w wydziałach wojewódzkich i powiatowych wojewodom i starostom. Nadzór nad organami wykonawczymi sprawuje Minister Administracji Publicznej. Nadzór ten wygląda jednak nader wątło, jeżeli się zważy, że organy wykonawcze są wykonawcami woli właściwych rad, nie podlegających nadzorowi Ministra i że każda rada wyższego stopnia może rozwiązać wydział wykonawczy rady niższego stopnia.

Trudno ocenić, jak ten system działa w praktyce. Ustawodawstwo PKWN i rządu warszawskiego nie wkroczyło zbyt głęboko w przedwojenną organizację administracji rządowej. Ponadto, czyniąc z rad narodowych narzędzie kontroli politycznej, ustawa o radach narodowych, pisana niedbale i zawierająca wiele niedociągnięć, nie daje im w ręce skutecznych środków tej kontroli. Wojewoda, według przepisów, obowiązujących przed wojną a dotąd niezmienionych, podlega służbowo i osobowo Ministrowi Spraw Wewnętrznych (Administracji Publicznej). Kto rozstrzyga, jeżeli rada narodowa zakwestionuje w trybie nadzoru czynność wojewody, zleconą przez Ministra? Wątpliwości takich jest więcej; cała koncepcja robi wrażenie niedociągniętej.

Wszystkie rady wybierają swoje prezydia. Prezydium KRN składa się z 5–7 osób:

Prezydenta KRN, dwóch zastępców, Naczelnego Dowódcy W.P. oraz członków. W okresie między posiedzeniami KRN na jej Prezydium przechodzą wszystkie wyliczone wyżej uprawnienia nadzorcze.

W ten sposób ośrodkiem dyspozycji politycznej, skoncentrowanej w KRN, staje się jej Prezydium. Jest to również naśladownictwo systemu sowieckiego, który władzę, sprawowaną nominalnie przez wielogłową reprezentację, przenosi faktycznie na kolegia o szczupłej liczbie członków. Pozwala to na znacznie skuteczniejsze wykonywanie tej władzy przy zachowaniu pozorów, że należy ona do przedstawicielstwa ludowego.

Na tym uprawnienia Prezydium się nie kończą. KRN jest władzą ustawodawczą, lecz jej uprawnienia w zakresie ustalania stanu liczebnego wojska, ustawodawstwa finansowego (zaciąganie pożyczek, zbycie, zamiana lub obciążenie majątku państwowego), zatwierdzania umów handlowych, celnych oraz obciążających państwo pod względem finansowym, wypowiadania wojny, zawarcia pokoju, przymierza, zatwierdzania umów zmieniających granice państwa, amnestii — przechodzą — w okresie między sesjami — na Prezydium. Do Prezydium należy również zatwierdzanie dekretów, wydawanych przez rząd.

Prezydium przejmuje niektóre funkcje, należące w systemie konstytucji marcowej do Prezydenta Rzeczypospolitej bądź Rady Ministrów, jak wprowadzenie stanu wyjątkowego lub wojennego, powoływanie i odwoływanie Naczelnego Dowództwa (w okresie między sesjami KRN). Naczelne Dowództwo jest kolegialne (5 osób).

Prezydium sprawuje wreszcie — również w okresie między sesjami KRN — kontrolę nad działalnością organów wykonawczych, a zatem nie tylko rządu, lecz i organów administracji lokalnej. Jeżeli przyjąć, że kontrola ta wyraża się w możliwości pociągania rządu do odpowiedzialności politycznej, to rząd ustępuje na żądanie Prezydium.

Na czele Prezydium stoi Prezydent KRN, któremu, według ustawy z 11 września 1944 r., służą wszystkie uprawnienia Marszałka Sejmu. Zastępuje on opróżniony urząd Prezydenta Rzeczypospolitej i w tym charakterze wykonywa funkcje (nie wszystkie), zastrzeżone konstytucyjnie Prezydentowi R.P. Poza tym funkcje przewodniczącego KRN, pełnione jednocześnie przez jej Prezydenta, nie mają nic wspólnego z uprawnieniami Marszałka Sejmu lub Prezydenta R.P. w konstytucji marcowej.

Tak się przedstawia ustrój Polski w świetle ustawodawstwa KRN i rządu warszawskiego. Trudno powiedzieć, w jakiej mierze ustawodawstwo to zdołało ukształtować stosunki faktyczne. W warunkach dyletantyzmu politycznego, nacisku wojsk okupacyjnych i chaosu administracyjnego, panującego w Polsce, ośrodki władzy politycznej mogły się poprzesuwać w niewiadomy sposób. Przepisy, które tu podano, są wyrazem koncepcji politycznej grupy rządzącej; rzeczywistość nie koniecznie mogła się ułożyć w ramach tej koncepcji. Z wiadomości nadchodzących z kraju można by wnioskować, że układa się ona nie według dekretów rządu warszawskiego, lecz raczej według życzeń ambasady rosyjskiej w Warszawie.

III. RZĄD

O roli rządu w ustroju rad, wprowadzonym w Polsce, mówiono już wyżej. Rząd składa się z Prezesa Rady Ministrów, dwóch wiceprezesów i 20 ministrów. Przed wojną urząd wicepremiera (zastępcy Prezesa Rady Ministrów) sprawował zwykle jeden z ministrów (Minister Spraw Wewnętrznych, Minister Skarbu), ministrów zaś było 11. Ilość wiceministrów w rządzie warszawskim uległa również znacznemu zwiększeniu. Powody tej rozbudowy administracji centralnej nie są jasne. Mogły na nią wpłynąć względy personalno-polityczne, konieczność zastosowania klucza partyjnego do obsady tek i dążenie do utrzymania tek kluczowych w pewnych rękach; mógł tu odegrać również rolę pogląd, że najwłaściwszym środkiem na zaradzenie pewnym potrzebom społecznym jest utworzenie osobnego ministerstwa.

Ta wielka ilość ministerstw z całym balastem wysoko płatnych dygnitarzy jest przede wszystkim bardzo kosztowna; w warunkach panującej w kraju nędzy nadmiernie rozrośnięty aparat władz centralnych musi stanowić ciężar szczególnie dotkliwy. Przerosty te mają jednak również inne ujemne skutki. Kompetencje administracyjne, podzielone między wielką ilość urzędów, zazębiają się wzajemnie, wkraczają jedne w drugie, co zwiększa wydatnie ilość sporów kompetencyjnych i pociąga za sobą konieczność wielostronnego opiniowania i uzgadniania każdej, drobnej nawet, sprawy. Machina biurokratyczna władz centralnych, ciężka z natury rzeczy, staje się jeszcze bardziej ociężała, jeszcze wolniej podąża za potrzebami życia. Brakom tym można w pewnej mierze zaradzić, jeżeli przy tworzeniu nowych urzędów określa się równocześnie z możliwą ścisłością ich kompetencje. Każde nowe ministerstwo zabiera zwykle część spraw, załatwianych przez jedno z poprzednio istniejących; należy zatem ustalić, co zostało przekazane nowemu urzędowi i jakie sprawy, dotąd nie załatwiane, ma on również załatwiać. Zasada ta jest władzom warszawskim na ogół obca, poprzestają one zazwyczaj jedynie na podaniu nazwy nowego ministerstwa. Metoda taka przyczynia się niewątpliwie do pogłębienia chaosu.

W systemach, opartych na przemocy drobnej grupy rządzącej, kluczowymi urzędami są ministerstwa, mające w swym ręku policję, wojsko i sądy. W ustroju obecnym są to Ministerstwa Bezpieczeństwa, Obrony Narodowej i Sprawiedliwości. Niestety, o pierwszych dwóch niczego z Dziennika Ustaw dowiedzieć się niepodobna.

IV. SĄDY

Warszawski Minister Sprawiedliwości oświadczył dnia 6 września 1945 r. w przemówieniu radiowym: "W obliczu zaostrzającej się walki w Polsce między reakcją a demokracją, sądownictwo będzie musiało wyraźnie i zdecydowanie wypowiedzieć się, po czyjej stronie stanie ono w swej codziennej pracy. Rozumie się samo przez się, że nie ma miejsca dla sądownictwa, hołdującego zasadom prawdy formalnej. Jest jedna tylko prawda, która służy demokracji, i nieprawda, która służy reakcji. Jeżeli sądownictwo w tych wielkich dla Narodu zagadnieniach nie zajmie zdecy-

WITOLD NOWOSAD

ROZMOWA Z CISZĄ

Jest nocna cisza i czuwają straże :
Nasze Cerbery. . . . . .
Mróz trzeszczy w drutach ostrych i ciężkich

Nad Europą.

Noc ponad światem w godzinie klęski
— Milczący potok —
I tylko z dali w sinym pożarze
Nad ruinami żyjącej Sprawy
(Dzień się nie skończył, jeno przesilił —)
Nadchodzą ku mnie ponad Dunajem
Dymy z Warszawy
Anno terribili :
Czterdzieści cztery. . . . . .

Nie mogę zasnąć i widzę gwiazdy :
Milczący potok —
Na wszystko patrzeć, nie mrużyć oczu,
Walczyć i szukać, nigdzie nie spocząć,
(Horyzont zastygł —)
Blask świeci krwawy i niegasnący
I Duch się budzi, rośnie, powstaje

Nad Europą. . . . . .

Jakże nam wierzyć w najdziwniejsze bajki
O szklanej górze, śpiącej królewnie ?
Wszystkie uwiędły niezapominajki,
Na szklanej górze jest pusto i gniewnie. . . . . .

Spadła nam z głowy młodzieńcza zasłona
I przepaliły się wewnętrzne włókna . . . . . .
Ktoś, który żyje, i tamten, co skonał,
Krzyczą przez druty — rozmowa okrutna.
Już brak nam żalu za głupią pozłotą
A gwiazdy tańczą — milczący potok. . . . .

Cóż nam zostało po dniach pełnych wrzawy,
Po nocach świeżych, szczęśliwych niewielu ?
Jak się wędruje po promieniach krwawych ?
Powiedz, odgadnij, drogi Przyjacielu !

Zimno na gwiazdach, a niepokój pali,
Rośnie nade mną fala tajemnicy
I marznie głucho — (milczący potok).
Księżyc się bawi na pustej ulicy
I bomby świecą jak sznury korali

Nad Europą. . . . . .

Nie mogę zasnąć, gdy fala mnie wzywa
I potok świeci, jak wstęga nadziei —
(Zdeptam cierpienie, przeżyję potop)
Tragedii cudzych wielkość nieszczęśliwa,
Czy nasze winy ? — Mróz się rozweselił —

Nad Europą. . . . . .

Jest nocna cisza i słyszę kroki,
Wolno nadchodzi Duch ze snu zbudzony
(Śnieg lśni jak złoto —)
Widzę : potężny, świecący, wysoki
Roztrąca druty . . . . . . Milczą stare dzwony

Nad Europą. . . . . .

Obóz w Mauthausen,
grudzień 1944 — styczeń 1945.

dowanego stanowiska w interesie żywotnych spraw narodowych, to demokracja polska zmuszona będzie sięgnąć po nowe formy sądownictwa kosztem zrezygnowania z kultu fachowości sądownictwa polskiego".

Zwrot o sądownictwie, hołdującym zasadom prawdy formalnej, brzmi dość dziwnie w ustach Ministra Sprawiedliwości. Sędzia współczesny orzeka na podstawie swobodnej oceny dowodów, wydaje wyroki według swego sumienia i przekonania. Jego zadaniem jest wykrycie prawdy materialnej. Wiązanie sędziego dowodami formalnymi należy w dziejach sądownictwa do zamierzchłej już przeszłości. Prawda materialna, do której ustalenia sąd dąży, ma na względzie nie interes reakcji lub demokracji, lecz jedynie i wyłącznie interes wymiaru sprawiedliwości.

Warszawski Minister Sprawiedliwości założeń tych nie uznaje. Jego sądownictwo ma służyć swoiście pojętej "demokracji", ma być narzędziem w rękach reżimu, pracować dla jego umocnienia. Jeżeli nie wejdzie na tę drogę — "demokracja" polska sięgnie po nowe formy sądownictwa i zrezygnuje z kultu fachowości sędziów.

Obie te zapowiedzi zrealizowano. Reżim, oparty na nieznacznej mniejszości społeczeństwa, musi dla utrzymania się przy władzy stosować ostre formy przymusu. Rozbudowuje on zatem prawo karne, tworzy wielką ilość ustaw karnych dodatkowych, hojnie szafuje karą śmierci. Nie poprzestaje na trzyinstancyjnym sądownictwie powszechnym, lecz tworzy sądy specjalne, jednoinstancyjne, upraszcza postępowanie w celu surowego i sumarycznego wymiaru kary, wprowadza do sądów czynnik laicki (ławniczy), dobrany w umiejętny sposób, i w dochodzeniu zapewnia przeważającą rolę policji. Po tej drodze poszło nowe polskie prawo sądowe. Rozszerzono znacznie właściwość sądów wojskowych, obejmując nią w szerokim zakresie osoby cywilne, utworzono w każdej apelacji sądy karne specjalne, orzekające jednoinstancyjnie z udziałem sędziego i dwóch ławników, powołano wreszcie do życia Najwyższy Trybunał Narodowy, właściwy dla przestępstw politycznych, orzekający również w składzie sędziego i ławników.

Zrealizowano również drugą zapowiedź warszawskiego ministra. Niezawisłe sądownictwo w Polsce nie istnieje. Minister może tworzyć i znosić sądy apelacyjne, okręgowe i grodzkie, przenosić sędziów bez ich zgody do sądów równorzędnych, mianować prezesów i wiceprezesów na stanowiska sędziowskie z jednoczesnym umniejszeniem uposażenia. Przy końcu r. 1944 ogłoszono dekret, stanowiący swego rodzaju curiosum w dziejach sądownictwa: pozwala on mianowicie, czasowo wprawdzie, zmienić grupę uposażenia funkcjonariusza państwowego, a w tym również sędziego, przenieść go w stan spoczynku lub zwolnić ze służby państwowej bez zachowania ustawowych warunków i terminów, za trzymiesięcznym wypowiedzeniem. Koronę wreszcie tej przebudowy sądownictwa stanowi dekret z 28 stycznia 1946 r., który pozwala mianować na stanowiska sędziów i prokuratorów osoby nie mające uniwersyteckich studjów prawniczych, aplikacji sądowej i egzaminu sędziowskiego oraz obowiązującego dotąd przy obsadzie stanowisk w sądach wyższych przesłużenia pewnej ilości lat na st nowisku sędziego lub prokuratora. Osoby te powinny się wykazać jedynie kwalifikacjami osobistymi, działalnością naukową lub zawodową, społeczną lub polityczną i dostateczną znajomością prawa, nabytą przez pracę zawodową bądź w uznanych przez Ministra Sprawiedliwości szkołach.

"Demokracja" polska zrezygnowała zatem z kultu fachowości sądownictwa. Sędziego, osiągającego ten tytuł po latach pracy, studjów i praktyki zawodowej, ma zastąpić sędzia dyletant, sędzia "społecznik", sędzia polityczny. Sędzia ma się stać odtąd wyrazicielem ideologii reżimu.

Jest to zresztą konsekwentne. Nowe ustawodawstwo karne bowiem, dalekie od prawniczej precyzji, używa często formuł, których sędzia, wychowany w zasadach współczesnego prawa karnego, nie zrozumie. Studiując dekret z 22 stycznia 1946 r. o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego, sędzia napotka tam takie zwroty, jak: "kto, idąc na rękę ruchowi faszystowskiemu lub narodowo-socjalistycznemu", "kto przyniósł korzyść faszyzmowi lub narodowemu socjalizmowi", "kto działał na korzyść faszyzmu lub państwa faszystowskiego", "kto usiłował zmienić lub zmienił prawnie obowiązujący ustrój państwowy Rzeczypospolitej w duchu faszystowskim. . . ." Dyspozycyj karnych tego rodzaju jest wiele w nowym ustawodawstwie. Prawodawca nie tłumaczy jednak nigdzie, co rozumie przez "faszyzm" bądź "narodowy socjalizm", jakie elementy tych pojęć składają się na treść przestępnego działania, co więcej, czasem rozróżnia pojęcie faszyzmu i narodowego socjalizmu, czasem zaś pojęciem faszyzmu obejmuje, jak się zdaje, wszelkie możliwe formy "reakcji".

Sędzia starej daty będzie zatem usiłował znaleść prawną tych terminów w oparciu o analizę cech ustrojowych Włoch faszystowskich i Rzeszy hitlerowskiej, a dla uwypuklenia tych cech przeciwstawi je jakiemuś wzorowemu ustrojowi demokratycznemu, jakim jest np. ustrój Rosji Sowieckiej. Wyniki będą ze stanowiska reżimu wątpliwe. Cóż się bowiem okaże? Zasadą ustroju faszystowskiego i narodowo-socjalistycznego jest koncentracja nieograniczonej władzy państwowej w rękach nielicznej grupy rządzącej, stanowiącej elitę. Lecz tę samą koncentrację i zasadę biurokratyczno-wojskowej elity znajdzie w ustroju Rosji Sowieckiej. W ustroju faszystowskim i narodowo-sojalistycznym grupa rządząca opiera się na monopartii, działalność innych partii jest zakazana. W Z.S.R.R. istnieje tylko partia komunistyczna. Pierwsze dwa ustroje doprowadzają do krańcowości kult przywódcy grupy rządzącej, przypisując mu nadprzyrodzone, charyzmatyczne właściwości; kult Hitlera i Mussoliniego w swoim czasie, a kult Stalina obecnie nie wykazują większych różnic. Faszym i narodowy socjalizm nie uznają praw jednostki, wolności sumienia, wyznania, prasy, zgromadzeń i stowarzyszeń, nie znają gwarancyj wolności osobistej, nietykalności mieszkania, tajemnicy korespondencji, niezawisłości sądów, gwarancyj drogi sądowej dla dochodzenia krzywdy lub straty, wolności nauki i nauczania, zasady *nullum crimen sine lege*. Wydaje się jednak, że zasady te są obce również i Rosji Sowieckiej. Faszyzm i narodowy socjalizm są ustrojami totalitarnymi, dążącymi do objęcia wszelkich przejawów życia zbiorowego, wkraczającymi wszędzie, w sferę rodziny, wychowania, nawet uczuć i myśli jednostki. Ustrój Rosji Sowieckiej udoskonalił jedynie metody działania w tej dziedzinie. Różnice doktrynalne? Założeniem ideologicznym faszyzmu jest heglowska idea kultu wszechobejmującego państwa, udosobionego w rządzącej elicie, założeniem narodowego socjalizmu — idea wspólnoty narodowej, ujmowanej biologicznie, jako germańska wspólnota rasowa, założeniem komunistycznej Rosji — idea dyktatury proletariatu. Wszędzie ta sama cecha wspólna — sprawowanie władzy nie w imieniu narodu, lecz w imieniu pewnej grupy, klasy lub warstwy. Jednakże pierwsze dwa ustroje reprezentują "reakcję", są rządami zbrodniczymi, trzeci zaś oznacza "prawdziwą demokrację".

Sędzia starej daty stanie więc zapewne bezradny. Za co ma nakładać karę śmierci lub długoletnie kary więzienia? Za nawoływanie do ustroju monopartyjnego (ew. bloku stronnictw)? Za szerzenie kultu Bieruta, Osóbki i Żymierskiego, charyzmatycznych przywódców nowej polskiej demokracji? Czy za protesty przeciwko obozom odosobnienia i zamykanie w więzieniach bez sądu? Za krytykę ustroju opartego na wzorach sowieckich? Czy za pochwalanie tego ustroju, mającego tyle cech wspólnych z "faszyzmem" i "reakcją"?

Sędzia nowego typu, wychowany w określonym światopoglądzie, operujący nie obcą mu analizą prawniczą, lecz bryłami sloganów, zrozumie od razu, o co tu chodzi. Zrozumie, że zasadnicza różnica jest jedna: ustroje kapitalistyczne (faszystowskie) przeciwstawia się ustrojowi komunistycznemu (demokratycznemu). Im więcej wpływów w państwie zdołali osiągnąć komuniści, tym bardziej się ono zbliża do ideału prawdziwej demokracji. Jest rzeczą drugorzędną, pod jakimi hasłami występują i jakie programy głoszą, hasła i programy są zmienne, niezmienna jest tylko jedna zasada: wierność rozkazom Kremla.

Sędzia ten spojrzy na mapę świata. Dostrzeże wówczas z uczuciem pokrzepienia, że faszystowskie wpływy, nawet na zachód od Renu, maleją. W starej Europie niewiele zostało bastionów faszyzmu; jeden z ostatnich, Wyspy Brytyjskie, chwieją się pod naporem sił nowej demokracji. Lecz spojrzawszy dalej na zachód, na drugą półkulę, ujrzy swego najgroźniejszego wroga, państwo najbardziej faszystowskie, nietknięte prawie dotąd przez zdobywczy pochód demokracji Wschodu. Drugi świat, obcy mu i nienawistny.

GLOSSATOR

OD WYDAWNICTWA

Z dniem 1 maja rb. nastąpiła zmiana na stanowisku redaktora naszego pisma. Ze stanowiska tego ustąpił p. Marian Emil Rojek, który prowadził "Mysl Polską" z ramienia ruchu narodowego przez lat pięć z górą.

Czytelnikom naszym pisać nie potrzebujemy o wkładzie red. Rojka ani o wybitnych wartościach jego pióra. Mieli możność poznać je w każdym niemal zeszycie "Myśli Polskiej", którą z takim nakładem pracy kierował od samego początku w bardzo trudnych pod względem politycznym i technicznym warunkach.

Czytelnicy nasi będą mieli nadal możność czytać artykuły p. Rojka, który nie zaprzestanie współpracy publicystycznej z "Myślą Polską".

STANISŁAW OŻGA

GOSPODARCZE ASPEKTY

WSPÓŁPRACY ANGLO-AMERYKAŃSKIEJ

JEDNYM z najbardziej brzemiennych w następstwa efektem ostatnich dwóch wojen światowych jest olbrzymi i wręcz bez precedensów niemal w historii nowoczesnej — jeśli chodzi o krótkość okresu w jakim się dokonał — wzrost potęgi gospodarczej i politycznej Stanów Zjednoczonych Ameryki. Kraj ten, który zaledwie pięćdziesiąt lat temu wszedł do grona wielkich mocarstw światowych, już po pierwszej wojnie światowej wysunął się na jedno z czołowych wśród nich miejsc jako potęga militarna, a na bezsprzecznie pierwsze jako potencjał gospodarczy, detronizując tu Wielką Brytanię, która przez dwa niemal wieki dzierżyła pewnie prymat wśród społeczności narodów. Owocem ostatniej wojny jest zdobycie przez Amerykę stanowiska przodującej potęgi militarnej, a więc i politycznej. Najbardziej jaskrawym objawem przesunięcia się w chwili obecnej ośrodka decyzji w życiu międzynarodowym na kontynent amerykański i utraty przez W. Brytanię jej czołowej pozycji, jest zdystansowanie tej ostatniej przez Stany Zjednoczone w dziedzinie floty tak wojennej jak i handlowej, utrzymanie prymatu której było kamieniem węgielnym polityki brytyjskiej. W chwili zakończenia działań wojennych marynarka amerykańska przewyższała więcej niż dwukrotnie flotę brytyjską.

Przesunięcia, jakie nastąpiły w układzie sił politycznych dwóch wielkich krajów anglosaskich, znalazły swój niemniej pełny wyraz w dziedzinie gospodarczej — bezwzględna supremacja Stanów Zjednoczonych stała się faktem niewątpliwym.

Zmiany te, dokonane w czasie wojen prowadzonych przez Anglię i Amerykę przeciwko wspólnemu wrogowi, a więc wówczas gdy oba narody razem przelewały krew na polach bitew, nie wywołały większych wstrząsów we wzajemnych stosunkach między obu krajami i nie spowodowały dalszego zaostrzenia się tych różnic, jakie między nimi były widoczne w czasie dwudziestolecia dzielącego oba wielkie konflikty światowe. Pozornie wydawać by się mogło, że dobrowolna, choć narzucona biegiem wypadków, rezygnacja Wielkiej Brytanii z jej dotychczasowego stanowiska uprości cały skomplikowany problem stosunku obu mocarstw anglosaskich, eliminując momenty ostrego współzawodnictwa, które tak silnie występowały w latach minionych. W rzeczywistości jednak zmiana w układzie sił sama przez się rozbieżności interesów istniejących między nimi w sferze gospodarczej nie usunęła, a jedynie role obu zainteresowanych państw uległy przestawieniu. Oczywiście, elementem łagodzącym istniejące nadal kontrowersje jest sytuacja polityczna, która silniej wiąże demokracje zachodnie i pozwala im na łatwiejsze znalezienie wspólnego języka pomiędzy sobą, niż z trzecim wielkim partnerem — Związkiem Sowieckim.

Wyrazem zbieżności w pewnym zakresie a rozbieżności w innym jest projektowana przez Administrację Prezydenta Trumana pożyczka dla rządu brytyjskiego. Zarówno rokowania, jakie poprzedziły ustalenie jej warunków, jak i dyskusja nad nią tak w Parlamencie brytyjskim jak i w Senacie amerykańskim (w chwili pisania tego artykułu pożyczka nie przeszła jeszcze przez obrady Kongresu), oraz w prasie obu tych krajów ujawniły szereg dużej wagi aspektów obecnych stosunków gospodarczych Zjednoczonego Królestwa i Ameryki.

Jakie są warunki pożyczki i jakie są jej cele z punktu widzenia interesu brytyjskiego i amerykańskiego?

Osiągnięcie porozumienia między obu rządami poprzedziły długotrwałe negocjacje podjęte po nagłym wstrzymaniu przez Prezydenta Trumana dostaw Lend-Lease we wrześniu 1945 r. Układ został ogłoszony w grudniu ub. r. równocześnie w Waszyngtonie i Londynie, łącznie ze wspólnym zaproszeniem przez oba państwa innych krajów do wzięcia udziału w konferencji, której tematem miałby być problem handlu międzynarodowego (konferencja dotychczas nie została zwołana).

Główna postanowienia układu przedstawiają się następująco:

Suma pożyczki ustalona została na £4.400 miln., z czego £ 650 miln. stanowić ma całkowite pokrycie zobowiązań Wielkiej Brytanii na otrzymane z tytułu Lend-Lease dostawy. Wymieniona ostatnio kwota obejmuje również należności za towary będące w trakcie dostawy w chwili wstrzymania przez Prezydenta Trumana świadczeń Lend-Lease-owych.

Zarówno spłata odsetek jak i amortyzacja kapitału ma rozpocząć się dopiero po pięciu latach. Wysokość oprocentowania została ustalona na 2%, zaś całkowita spłata pożyczki nastąpić ma w ciągu 50 lat.

Spłata odsetek (nie kapitału) ma ulegać wstrzymaniu wówczas, jeśli w którymś z lat dochód roczny Zjednoczonego Królestwa spadnie poniżej sumy Ł 866 miln. (t.j. przeciętnej z lat 1936-38). Przy braniu pod uwagę tej kwoty uwzględnione być mają zmiany w poziomie cen, jakie w międzyczasie będą miały miejsce.

Rząd brytyjski zobowiązał się do zwrócenia się do swych innych wierzycieli — nie tylko wchodzących w skład bloku sterlingowego, ale i tego typu jak np. Argentyna — z propozycją przedyskutowania z nimi możliwości dostosowania warunków spłaty swego wobec nich zadłużenia do warunków kredytu amerykańskiego. W zamian za zgodę na ich zmianę Wielka Brytania zaproponować ma państwom wierzycielskim stopniowe odmrażania ich rachunków sterlingowych (powstałych w czasie wojny) oraz całkowitą swobodę w dysponowaniu saldami z innych, bieżących tranzakcji.

Wielka Brytania zobowiązała się również ratyfikować układ z Bretton Woods i wyraziła zgodę na ustalenie jednorocznego okresu przejściowego oraz przejęcie w tym czasie na siebie wszelkich zobowiazań wynikających z tegoż układu.

Oba rządy, wysyłając zaproszenia na międzynarodową konferencję w sprawie handlu zagranicznego, ogłaszają wspólne oświadczenie w sprawie uzgodnionych w tej dziedzinie zasad, które mają przyszłej konferencji przedłożyć.

Układ kredytowy anglo-amerykański jest —jak z powyższych postanowień wynika — rezultatem dużych ustępstw ze strony brytyjskiej na rzecz nietyle postulatów Administracji Prezydenta Trumana co Kongresu, którego członkowie brali udział w toczących się obradach i wszelkie postanowienia umowy rozpatrywali w mniejszym stopniu z punktu widzenia potrzeb gospodarstwa światowego, czy nawet własnych amerykańskich, bardziej szeroko i długofalowo pojętych interesów w dziedzinie obrotów z zagranicą, co z punktu widzenia swych wewnętrznych, bieżących spraw politycznych, w których taktyka wyborcza i liczenie na potrzebę zjednywania sobie głosów przy wyborach, które będą miały miejsce w jesieni b.r., odgrywało dużą rolę. Stąd też odrzucony został np. postulat brytyjski otrzymania pożyczki bezprocentowej, uważany za słuszną i sprawiedliwą rekompensatę za ofiary poniesione przez Wielką Brytanię w okresie gdy stała sama na polu walki, ponosząc ofiary, będące bezpośrednią przyczyną tych trudności, które zmuszają obecnie do potrzeby zwracania się o pomoc do swego alianta za Atlantykiem. Świadomość niesprawiedliwości losu, który w tej samej wojnie o wspólną sprawę spowodował tak silną pauperyzację Wielkiej Brytanii, a równocześnie ogromny wzrost bogactwa Ameryki, tkwi bardzo głęboko w psychice narodu brytyjskiego.

Dla zrozumienia sytuacji, w jakiej znalazło się Zjednoczone Królestwo w chwili zakończenia wojny, należy na dwa jej aspekty zwrócić w pierwszym rzędzie uwagę. Pierwszym z nich jest konieczność liczenia się przez Wielką Brytanię z deficytem w bilansie płatniczym przez okres przyszłych 3 do 5 lat, zanim gospodarstwo angielskie zdoła dostosować swą strukturę do nowej sytuacji gospodarczej w powojennym świecie. Drugi natomiast to fakt zadłużenia się Wielkiej Brytanii w stosunku do krajów zamorskich, które znalazło swój wyraz w ogromnym wzroście rachunków sterlingowych tych państw w Londynie, obecnie wciąż jeszcze zablokowanych, oraz w innych zobowiązaniach powstałych w czasie wojny.

Funkcjonowanie gospodarstwa brytyjskiego opierało się—jak wiadomo—w czasach przedwojennych na imporcie środków żywności i surowców, spłacanych eksportem artykułów przemysłowych, zarobkami floty oraz dochodami z innych usług i z inwestycji zagranicznych. Wojna dotknęła niezwykle silnie cały ten sprawnie przez lata funkcjonujący mechanizm.

Eksport uległ poważnej redukcji, do mniej niż 1/3 poziomu przedwojennego, wobec potrzeby uzyskania rąk do pracy w przemysłach zbrojeniowych.

Straty na morzu obniżyły tonaż floty handlowej o więcej niż 1/4 jego stanu sprzed wojny.

Utrata znacznej części inwestycji zagranicznych zredukowała dochód z tego źródła w 1945 r. do sumy o przeszło połowę niższej niż w 1938 r.

Wzrost zadłużenia zagranicznego jest następstwem olbrzymich wydatków ponoszonych na utrzymanie sił zbrojnych w krajach zamorskich — głównie na Środkowym Wschodzie i w Indiach — oraz na zapewnienie im dostaw szeregu towarów niezależnie od świadczeń dokonywanych w ramach Lend-Lease. Wy-

datki te tylko w drobnej części mogły być pokryte eksportem i likwidacją zagranicznych inwestycji brytyjskich.

Konsekwencją tego stanu rzeczy stał się poważny niedobór w bilansie płatniczym Wielkiej Brytanii, którego wyrównywanie złotem lub dewizami o tyle nie może mieć miejsca, iż posiadane rezerwy zostały wydane w latach 1939/41. W kwietniu 1941 r. zapas złota i dewiz spadł do niesłychanie niskiego poziomu £3 miln. i jakkolwiek później został w pewnej mierze odbudowany dzięki płatnościom gotówkowym za pewne świadczenia na rzecz armii amerykańskiej, to jednak jest on nadal całkowicie niewystarczający dla użycia go do pokrycia niewątpliwych jeszcze w ciągu paru przyszłych lat niedoborów w bilansie płatniczym.

Jedynym strukturalnym rozwiązaniem tej sytuacji, w jakiej W. Brytania się znajduje, jest oczywiście zwiększenie jej eksportu, i to tak znaczne, by pozwoliło ono na pokrycie importu w rozmiarach przedwojennych. Wymagać to w konsekwencji będzie zastąpienia przez wpływy z eksportu innych źródeł dochodów przedwojennych, które bądź uległy poważnemu zmniejszeniu, bądź nawet zupełnie zniknęły. Według obliczeń, jakie zostały ostatnio dokonane, przywrócenie równowagi w bilansie płatniczym W. Brytanii — bez potrzeby utrzymywania licznych obecnie i niezwykle uciążliwych restrykcji — wymagać będzie zwiększenia wywozu o niemal 75% w stosunku do przedwojennego jego poziomu. Osiągnięcie tego celu w krótkim okresie czasu przekracza możliwości gospodarstwa brytyjskiego. Dalsze "zaciskanie pasa" przez społeczeństwo angielskie, po sześciu latach ograniczeń wojennych, jest trudne do pomyślenia, a byłoby ono bezwzględnie koniecznym, gdyby rekonstrukcja oprzeć się miała o własne jedynie siły.

Pożyczka amerykańska ma zatem umożliwić nabycie W. Brytanii tych środków żywności, surowców czy maszyn, jakie są jej piekąco potrzebne dla szybkiego wyjścia z sytuacji, w jakiej w następstwie wojny się znalazła.

Jest to dodatnia strona kredytu, który — z brytyjskiego punktu widzenia — obfituje także w poważne cienie.

Sam ciężar obsługi pożyczki (£35 miln. rocznie), jakkolwiek bardzo poważny dla kraju, który w czasie wojny utracił około 1/4 części swego majątku narodowego, nie stanowi istotnego zagadnienia, zwłaszcza wobec niskości oprocentowania, klauzuli zawieszającej spłatę odsetek w chwilach trudności oraz ostatecznego zlikwidowania wszelkich zobowiązań Lend-Lease-owych kwotą £650 miln., a zatem niemal 40-krotnie niższą od cyfry figurującej w książkach rachunkowości amerykańskiej.

Sedno zagadnienia tkwi natomiast w warunkujących pożyczkę zmianach w strukturze i technice dotychczasowych obrotów zagranicznych zarówno pomiędzy kontrahentami jak i innymi państwami, których wpływ na kształtowanie się powojennych stosunków będzie bez wątpienia decydujący.

Układ nakłada na W. Brytanię obowiązek ratyfikowania umowy z Bretton Woods oraz przyjęcia zasady nie-dyskryminacji w handlu międzynarodowym, pozbawiając jej silnie osłabione gospodarstwo bardzo skutecznego instrumentu polityki gospodarczej, w momencie gdy nie jest ono w stanie użyć w negocjacjach z innymi państwami najsilniejszego swego atutu, jakim jest wielka chłonność rynku brytyjskiego dla towarów zagranicznych. Stawia to Anglię w sytuacji wysoce skomplikowanej i trudnej, a nawet niebezpiecznej, gdyż uderza w cały system preferencji celnych pomiędzy W. Brytanią a Dominiami, który nietylko obu stronom daje znaczne korzyści ekonomiczne, ale i stanowi mocne ogniwo, wiążące je silnie wspólnotą interesów.

Nie stwarza natomiast anglo-amerykańska umowa kredytowa możliwości dla planowej ekspansji w handlu międzynarodowym. Wykluczając możliwość osiągnięcia równowagi pomiędzy eksportem a importem w drodze specjalnych układów z poszczególnymi państwami, jak i eliminując nawet możność — co ma zwłaszcza duże znaczenie dla W. Brytanii — zawierania specjalnych porozumień z koloniami, ogranicza układ środki służące temu celowi do taryf celnych i kontyngentów przywozowych, a zatem do ograniczeń w imporcie. Jest to więc raczej stwarzanie warunków dla osiągnięcia równowagi w obrotach zagranicznych przez równanie w dół niż w górę.

Uniknięciem tych konsekwencji układu mogłoby być przyjęcie programu pełnego zatrudnienia przez oba państwa, a zatem wzięcie przez zainteresowane rządy na siebie obowiązku niedopuszczenia do silnych wahań koniunkturalnych i związanych z nimi objawów masowego bezrobocia. Do chwili obecnej rząd amerykański nie uznał tego postulatu za wytyczną swej powojennej polityki gospodarczej, a zatem nie ma ze strony Stanów Zjednoczonych gwarancji, iż nie powtórzą się smutne doświadczenia lat trzydziestych. W tym ostatnim przypadku przyjęcie przez W. Brytanię układu zawiera poważną dla niej groźbę, iż w razie załamania się w Ameryce wysokiej koniunktury powojennej i wybuchu tamże kryzysu, pozostanie ona bez środków obrony własnego gospodarstwa i stanie się wielkim importerem bezrobocia z tamtej strony Atlantyku do własnego kraju.

Te względy są głównym powodem silnej opozycji w pewnych kołach brytyjskich przeciwko zaciąganiu pożyczki amerykańskiej, która znalazła wyraz w dyskusji w Parlamencie, w czasie której jeden z posłów konserwatywnych (R. Boothby) określił ją mianem "gospodarczego Monachium", zaś *The Times* w swym artykule redakcyjnym stonował to porównanie na "gospodarczą Dunkierkę".

Obiektywnie stwierdzić należy, że pożyczka amerykańska nie stanowi lekarstwa usuwającego obecne trudności brytyjskie, i jedynie głęboko sięgające zmiany w strukturze gospodarczej Anglii, a więc radykalne przestawienie się produkcji przemysłowej na wymogi nowej rzeczywistości, mogą pozwolić na odzyskanie utraconej w latach wojny równowagi. Umożliwia natomiast pożyczka przejście przez okres rekonstrukcji bez potrzeby dalszych drastycznych ograniczeń w konsumpcji społeczeństwa.

Losy gospodarstwa światowego zależą w ogromnej mierze od polityki gospodarczej Stanów Zjednoczonych. Kraj ten po raz pierwszy w historii rzuca cały swój wpływ na szalę zniesienia ograniczeń krępujących międzynarodowe obroty handlowe, a więc i na obniżkę taryf celnych nie tylko u innych ale i u siebie (W. Brytania próbowała również tej drogi po uprzedniej wojnie z fatalnym dla jej gospodarstwa skutkiem)). Ma to oczywiście otworzyć rynki zbytu dla eksportu amerykańskiego, który staje się koniecznością wobec olbrzymiego wprost rozbudowania w ostatnich latach przemysłu, którego produkcja przekracza chłonność rynku wewnętrznego. Jest to jedna strona tego problemu wobec którego stają Stany, strona w pełni rozumiana przez społeczeństwo. Drugą natomiast jest kwestia zapłaty za import amerykański, oraz spłaty kredytów otrzymywanych przez poszczególne państwa, gdyż aby obroty mogły być stale dokonywane muszą być dwustronne. I tu zaczynają się trudności. Stany Zjednoczone pragną sprzedawać, nie chcą natomiast kupować z zagranicy. Tymczasem jeśli równowaga w bilansie płatniczym ma być utrzymana — co jest koniecznością tak dla gospodarstwa amerykańskiego jak i światowego — to Ameryka kupować musi towarów nawet więcej niż ich sprzedaje, jeśli dochody z odsetek od kapitałów lokowanych zagranicą oraz opłat za różne usługi będą wyższe (co jest prawdopodobne) od tego rodzaju rozchodowych pozycji jak wydatki turystów amerykańskich, przekazy pieniężne emigrantów i t.p. Jest to warunek sine qua non funkcjonowania gospodarstwa światowego i niedopuszczenia do stanu jego dezintegracji z lat poprzedzających wybuch ostatniej wojny.

Jakkolwiek fakt ten jest przez wszystkich poważniejszych ekonomistów silnie podkreślany nie zdołał on jeszcze trafić do niektórych kół gospodarczych Ameryki. W opozycji do udzielenia pożyczki W. Brytanii to niezrozumienie nowej roli Stanów Zjednoczonych oraz dawne uprzedzenia, jak np. obawa przed ułatwieniem konkurentowi odzyskania utraconych przez niego rynków zbytu, odgrywa dużą rolę. Przyłącza się do tego niechęć do nowej formy kredytu, jakim jest zastąpienie przez państwo bankiera prywatnego (pożyczkę bowiem udziela rząd amerykański rządowi brytyjskiemu),i obawa, iż stanie się to precedensem na przyszłość. Pewną rolę odgrywa również prawdopodobnie — pomimo oficjalnych zaprzeczeń — mała popularność obecnego rządu socjalistycznego W. Brytanii we wpływowych kołach gospodarczych Ameryki. Z całej dyskusji, jaka z okazji pożyczki toczy się ciągle w Stanach Zjednoczonych na temat ich stosunku do W. Brytanii, jest rzeczą widoczną, iż izolacjonizm w dziedzinie gospodarczej posiada wciąż jeszcze silnych zwolenników, a zrozumienie obowiązków jakie nakłada na kraj obecna jego czołowa pozycja w świecie nie jest jeszcze powszechne. Zbyt szybki i niespodziany był awans dla młodego i w wielu dziedzinach niedoświadczonego narodu. Ameryka ma wciąż tylko psychikę przemysłowca, który pragnie jak najwięcej produkować i sprzedawać, zarabiając na tym jak najlepiej, a obcą jej jest mentalność bankiera, który umieć musi dobrze lokować. Potrzebnego do tego doświadczenia — które w tak wysokim stopniu miała W. Brytania — wciąż jej jeszcze brak.

Duży wpływ rzecz oczywista na politykę Stanów Zjednoczonych w dziedzinie międzynarodowych stosunków gospodarczych mieć będzie i sytuacja wewnętrzna kraju. W chwili obecnej trzeba niewątpliwie dużego optymizmu by przewidywać, że gospodarka amerykańska w okresie powojennym osiągnie szybko stadium stabilizacji swych stosunków.

Niemniej faktem pozytywnym jest, iż Administracja Prezydenta Trumana wykazuje zrozumienie nowych zadań, w obliczu których stanęła ostatnio Ameryka.

Należy jednak podkreślić iż nawet osiągnięcie pełnego wzajemnego zaufania pomiędzy krajami anglosaskimi i nawiązanie bliskiej i zgodnej między nimi współpracy nie przesądza jeszcze o losach gospodarstwa światowego, jak długo Związek Sowiecki wraz ze swoimi państwami satelickimi stanowi odrębny, zamknięty dla kontaktów z Zachodem blok. Klucz do tego problemu leży całkowicie w płaszczyźnie politycznej, a wszelkie próby rozwiązań gospodarczych, w oderwaniu od obecnej rzeczywistości politycznej, posiadają znikome tylko szanse powodzenia.

STANISŁAW OŻGA

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

KONFERENCJA PARYSKA

KONFERENCJA czterech ministrów spraw zagranicznych, która zebrała się w Paryżu pod koniec kwietnia b.r. celem przygotowania projektów traktatów na konferencję pokojową (miała się ona z kolei zebrać również w Paryżu w połowie maja) — rozbiła się po trzech tygodniach narad dnia 16 maja. Formalnie została ona odroczona do dnia 15 czerwca; odroczenie nastąpiło jednak dlatego, że obrady nie doprowadziły do żadnego pozytywnego rzultatu. Komentatorzy konferencji notując ten jej żałosny rezultat, zapytują się ze sceptycyzmem, czy warunki, które uniemożliwiły osiągnięcie porozumienia w maju, zmienią się w czerwcu, kiedy ministrowie spraw zagranicznych czterech mocarstw spotkają się w Paryżu ponownie.

Zadaniem niefortunnej konferencji paryskiej było opracowanie projektów traktatów pokojowych z Włochami, Finlandią, Węgrami, Rumunią i Bułgarią. Ponad to jednak miała ona na wniosek Ameryki zająć się sprawami niemieckimi, oraz sprawą ewentualnego traktatu pokojowego z Austrią. Ponieważ porządek dzienny konferencji, zapowiedziany w czasie poprzedniej moskiewskiej konferencji w grudniu ub. r., nie przewidywał ani spraw niemieckich, ani sprawy austriackiej — delegacja rosyjska od razu sprzeciwiła się rozszerzeniu programu konferencji. Ostatecznie zgodziła się, aby nadprogramowo została pod koniec obrad konferencji otwarta dyskusja nad projektem amerykańskim w sprawie Niemiec, kategorycznie sprzeciwiła się jednak dopuszczeniu do dyskusji sprawy traktatu z Austrią. Jak tłumaczył p. Mołotow "mocarstwa miały dość kłopotów z pięcioma innymi traktatami, aby obciążać się obecnie jeszcze szóstym".

Traktat pokojowy z Finlandią nie nasuwał żadnych trudności i jest gotowy do przedstawienia go konferencji pokojowej. Traktaty z Węgrami i Rumunią przeszły również stosunkowo gładko. Jedyna kwestia terytorialna, która budziła wątpliwości, sprawa Siedmiogrodu, załatwiona została po myśli Rumunii, gdyż mocarstwa ostatecznie unieważniły rozjemstwo wiedeńskie z sierpnia 1940 r. w sprawie podziału terytorium między Rumunię i Węgry. Obecnie są możliwe jedynie drobne poprawki graniczne na korzyść Węgier. Traktat z Bułgarią nasuwał poważniejsze trudności, zarówno ze względu na obecny reżim polityczny w Bułgarii, którego mocarstwa zachodnie nie chcą uznawać, jak z powodu niewykonania przez Bułgarię warunków rozejmowych, o ile chodzi o odszkodowania na rzecz Grecji, — oraz w ogóle cały zatarg grecko-bułgarski.

Główną przeszkodą, dla której traktaty bałkańskie nie zostały wykończone, było żądanie amerykańskie, aby traktaty te zawierały klauzulę, otwierającą żeglugę na Dunaju dla handlu innych krajów. Klauzuli tej Rosja sprzeciwiła się z całą stanowczością i porozumienie w sprawie tych traktatów byłoby możliwe jedynie w razie wycofania przez Amerykę jej żądania. Rosja opierała się, pozornie broniąc "suwerenności" państw naddunajskich, naprawdę jednak, aby wyeliminować z obecnej swojej wyłącznej domeny wpływy innych mocarstw.

Największe trudności spowodował jednak traktat włoski. Traktat włoski był przedmiotem dyskusji mocarstw na tle następujących problemów: 1) sprawa granic Włoch w Europie, 2) sprawa b. kolonii włoskich, 3) sprawa floty włoskiej, 4) sprawa odszkodowań od Włoch.

Sprawa terytoriów włoskich w Europie nie nasuwała przeszkód tam, gdzie interesy rosyjskie nie były zaangażowane. Dlatego mogła panować jednomyślność w sprawie granicy włosko-austriackiej, która ma się na ogół pokrywać z dotychczasową granicą. Natomiast nie było zgody ani w sprawie granicy włosko-jugosłowiańskiej, ani w sprawie wysp włoskich na Morzu Egejskim (Dodekanez). W tej ostatniej sprawie Rosja zgadzała się zasadniczo z innymi mocarstwami, aby wyspy te formalnie należały do Grecji, chciałaby tam jednak uzyskać bazy (jak twierdziła handlowe), dające jej wyjście poza Dardanele.

O ile chodzi o granicę włosko-jugosłowiańską istniała zasadnicza sprzeczność między stanowiskiem Rosji z jednej strony, oraz innych mocarstw z drugiej. Rosja domagała się na rzecz Jugosławii całej prowincji Venezia Giulia, nawet poza dawną granicę austriacko-włoską z r. 1914, łącznie z Triestem. Natomiast Ameryka, Wielka Brytania i Francja sugerowały podział Venezii Giulii między Włochy i Jugosławię, przy czym każde z tych państw projektowało inną linię graniczną. Najkorzystniejsza dla Włoch była propozycja amerykańska, dla Jugosławii francuska. O ile chodzi o Triest projekty francuski i amerykański pozostawiały to miasto przy Włoszech (z gwarancjami międzynarodowymi na rzecz interesów handlowych państw środkowo-europejskich w porcie triesteńskim), podczas gdy w myśl projektu brytyjskiego cały Triest z okręgiem miałby być umiędzynarodowiony i otrzymać statut wolnego miasta na wzór statutu Gdańska z lat 1919-1939.

W sprawie b. kolonii włoskich nie było porozumienia: Ameryka i Francja wypowiadały się za utworzeniem z tych kolonii powiernictwa międzynarodowego (*trusteeship*) i powierzenia go z ramienia Zjednoczonych Narodów — Włochom. Anglia pragnęła ustanowienia "niepodległych" państw arabskich na terytoriach po - włoskich, bądź pod zbiorowym powiernictwem mocarstw, bądź pod swoim własnym. Wreszcie Rosja wysunęła żądanie uzyskania wyłącznego powiernictwa nad Trypolitanią. Później wycofała to żądanie, które nie posiadało wielkich szans, i na złość Anglii zaproponowała oddanie powiernictwa Włochom, przyłączając się do stanowiska Francji i Ameryki. Propozycji tej mocno opierała się Anglia, zwłaszcza o ile chodzi o Cyrenajkę, powołując się na swoje zobowiązania wojenne wobec tamtejszego plemienia Senussi (że Włochy pod żadnym pozorem nie będą mogły sprawować władzy nad tym terytorium). Anglii chodzi o utrzymanie w Trypolitanii oraz Cyrenajce swoich wojsk, gdyż wobec konieczności wycofania przez nią wojsk z Egiptu musi ona myśleć o bazach w sąsiedztwie Egiptu.

W sprawie podziału floty włoskiej pierwotne żądania sowieckie zostały zmitygowane i osiągnięte zostało porozumienie, sprawa ta jednak wypłynęła następnie w związku ze sprawą odszkodowań. Rosja wysunęła bowiem żądanie odszkodowań od Włoch na sumę 300 milionów dolarów dla siebie, oraz dla Jugosławii i Grecji. Żądaniu temu sprzeciwiła się Ameryka, oświadczając, że nie po to udziela ona z pobudek humanitarnych pomocy gospodarczej i finansowej zrujnowanym Włochom, aby korzyść stąd odnosiły inne mocarstwa, i zaproponowała, aby okręty włoskie, które ma Rosja otrzymać, zostały zaliczone na poczet odszkodowań. Rosja jednak reprezentowała stanowisko, że okręty stanowią "łup wojenny" — i obstawała przy swoim żądaniu. Później wyraziła ona gotowość ustępstw w tej sprawie i w innych sprawach, o ile zachodnie mocarstwa przyjęłyby punkt widzenia sowiecki w sprawie Triestu.

W sprawie Triestu (oraz w ogóle granicy włosko-jugosłowiańskiej) w grze były zbyt poważne interesy: Triest panuje nad całym Morzem Adriatyckim i jako baza morska posiada wielkie znaczenie zarówno dla całej Środkowej Europy, jak i dla całego basenu Morza Śródziemnego. Jugosławia jest państwem komunistycznym pod wpływami Rosji — i ta okoliczność miała większy wpływ na stanowisko Anglii i Ameryki, aniżeli ich wzgląd na etniczne prawa Włoch.

Nie było również porozumienia w dodatkowej sprawie uzgodnienia polityki mocarstw wobec Niemiec. W sprawie tej wpłynęły dwa projekty: amerykański i brytyjski, wzajemnie się uzupełniające, oraz osobny projekt francuski w sprawie Nadrenii. Rosja sprzeciwiła się wszystkim tym projektom, których rezultatem musiałoby być usztywnienie polityki wobec Niemiec.

Wobec braku porozumienia w każdej niemal sprawie — i zawsze z tego samego powodu — konferencja została na wniosek Ameryki odroczona do dnia 15 czerwca. Jak wynika z późniejszej deklaracji ministra Byrnesa Ameryka dążyć będzie do tego, aby jeszcze w ciągu lata zwołana została ogólna konferencja pokojowa, gdyby zaś to nie mogło nastąpić rząd amerykański skieruje tę sprawę na tory maszynerii Organizacji Zjednoczonych Narodów.

Nie wiadomo, czy nie jest to tylko manewr, obliczony na psychologię Sowietów które nie lubią demonstrowania swojego własnego imperializmu przed audytorium mniejszych narodów, wobec których wolą uchodzić za obrońców demokracji międzynarodowej i rzucać gromy na inne imperializmy. Należy jednak zwrócić uwagę na ogólny w krajach anglosaskich odwrót od polityki "wielkiej trójki", która zawiodła wszelkie nadzieje, nawet najbardziej egoistyczne. Stąd zarówno w Ameryce (niedawne oświadczenie sen. Vandenberga), jak i w Anglii zaczyna się podkreślać konieczność powrotu i do zasad i do metod dyplomacji z lat 1919-1939 opartych na poszanowaniu prawa wszystkich państw do udziału w decyzjach międzynarodowych.

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

JĘDRZEJ GIERTYCH

SPRAWA NASZYCH ZIEM WSCHODNICH

BILANS DWUDZIESTOLECIA I PERSPEKTYWY PRZYSZŁOŚCI

(Ciąg dalszy)

3.

PIERWSZA wojna światowa przyniosła z sobą na naszych Ziemiach Wschodnich istną zawieruchę wydarzeń i przemian.

W kolejności chronologicznej pierwszym z tych wydarzeń było dalsze wzmocnienie obozu ukraińskiego w Ziemi Czerwieńskiej, będące skutkiem przelotnej okupacji rosyjskiej, jaka miała tam miejsce w roku 1914 i 1915. Starorusini, teoretycznie, wyznawali ideę łączności narodowej Rusinów halickich z Rosją, mieli również w swym łonie jednostki, które z tego teoretycznego stanowiska wysnuwały konsekwencje praktyczne w postaci wyraźnego, politycznego "moskalofilstwa". Wkroczenie Rosji na Ruś Czerwoną przyjęte zostało przez obóz staroruski w zasadzie przyjaźnie, aczkolwiek temperatura tego przyjaznego ustosunkowania była, w zależności od środowiska i jednostki, bardzo różna. Rosja carska usiłowała wówczas uczynić to, co czyni dziś Rosja Sowiecka, mianowicie skasować na Rusi Czerwonej Unię Brzeską i wcielić Cerkiew unicką do prawosławia. Znalazły się w obozie staroruskim żywioły skrajnie "moskalofilskie," — tak, jak dziś znajdują się wśród ukraińców żywioły skrajnie prosowieckie — które poszły tym dążeniom Rosji na rękę. Nawet wśród jednostek, postawionych dość wysoko w hierarchii cerkwi unickiej, zdarzyły się wypadki apostazji.

Szeroka jednak masa ruskiej ludności Ziemi Czerwieńskiej wyniosła z tego swego pierwszego w dziejach bezpośredniego zetknięcia się i zapoznania z Rosją to doświadczenie, że Rosja jest jej nawskroś obca. Rusini poczuli się związani ze światem zachodnim, a wobec Rosji przeciwstawni. A wobec tego że starorusini byli skompromitowani swą współpracą z Rosją i swą reputacją "moskalofilstwa", szerokie masy ruskiej ludności odwróciły się od nich. Z niechęci do "moskalofilstwa" — rzuciły się one w objęcia walczącego ze starorusinami kierunku: ukrainizmu. Ukraińcy opierali się politycznie o Austrię, wystawili nawet zbrojny legion do walki z Rosją. Szeroka masa ruska, zniechęcona do rosyjskiego okupanta i czująca się związaną z Zachodem (choćby reprezentowanym przez Austrię), poparła ich z tego właśnie powodu. Nie znaczyło to wcale, że uważała się za związaną z Ukrainą, z Kijowem, z Dnieprem: po prostu, uważała się za niezwiązaną z Moskwą.

Ukrainizm ugruntował się na Rusi Czerwonej w sposób o wiele mocniejszy, niż przed wojną. Ale możliwości starorusinizmu nie były przez to bynajmniej przekreślone: klęska starorusinizmu była jedynie doraźna, wywołana chwilową koniunkturą. Starorusinizm był w swej istocie o wiele mniej "moskalofilski", niż to się wydawało na pozór. Tak samo, jak na Rusi Podkarpackiej (wówczas węgierskiej, a później czechosłowackiej), był on ruchem o obliczu przedewszystkim lokalnym. I to ruchem, mającym cechę wybitnie zachodnią.

Odwrócenie się mas ruskich od "moskalofilstwa" stworzyło koniunkturę do zrodzenia się na Rusi Czerwonej trzeciego prądu: polonofilskiego. A w każdym razie, do gruntownego przekształcenia się obozu staroruskiego, — do zerwania przez ten obóz z Rosją, do oparcia się go o kulturę zachodnią i do zbliżenia się do Polski. Niestety, Polska nie umiała tej koniunktury po wojnie wyzyskać.

* * *

Polityka niemiecka w latach 1915-1919, zarówno na okupowanych ziemiach zaboru rosyjskiego, jak i w zaborze austriackim (gdzie coraz skuteczniej posługiwała się stojącym do jej dyspozycji aparatem państwowym austriackim), miała postawę zarówno antypolską, jak antyrosyjską. Oparła się więc w swych rządach na naszych ziemiach wschodnich — zgodnie zresztą z długą już tradycją swych sympatii i skrytych poczynań — na separatyzmach antypolskich, a mianowicie na ukrainiźmie i na ruchu litewskim. (Usiłowała ona również popierać ruch białoruski, lecz był to ruch tak słaby, że nie mogło to dać poważniejszych wyników).

Dziełem polityki niemieckiej jest republika litewska. Ochraniana aż po koniec roku 1919-ego przez bagnety niemieckiej okupacji, wyrosła ona, jak cieplarniana roślinka, wyhodowana sztucznie — i sztucznymi środkami, takimi, jak represje policyjne, obozy koncentracyjne, cenzura, przymusowe wywłaszczenie, zabezpieczyła się, na własnym terytorium, przed rewolucją uciśnionej, miejscowej, litewskiej, kowieńskiej polskości. Dzisiaj, po dwudziestu latach istnienia niepodległej Litwy, hermetycznie od związków z Polską odgrodzonej, po wyrośnięciu całego, nowego pokolenia, zżytego już z własną państwowością, nie znającego polskiego języka i polskiej kultury, wychowanego przez grupę polityczną, której Niemcy oddali na Litwie władzę w ręce — odrębność Litwy stała się faktem trwałym, a szczep litewski stał się litewskim narodem. Ale w latach 1915-1919 losy dopiero się ważyły, przeciwstawne siły dopiero się ze sobą zmagały, a skrystalizowanie się etnograficznej Litwy w społeczeństwo, zajmujące takie mniej więcej miejsce w obrębie narodu polskiego, jakie Walijczycy zajmują w obrębie narodu brytyjskiego, nie było bynajmniej rzeczą wykluczoną. Jeśli separatyzm antypolski zwyciężył na Litwie nad poczuciem duchowej łączności z Polską — jest to w niemałym stopniu rezultatem interwencji niemieckiej. Zagadnienie to wykracza zresztą poza ramy niniejszego artykułu. Jest to przy tym już tylko zagadnienie, mogące obchodzić historyka. Czy podoba się nam to, czy nie podoba, wyodrębnienie narodowe Litwy jest już faktem dokonanym, z którym liczyć się musimy, jako z istniejącą rzeczywistością.

Ziemie ruskie zaboru rosyjskiego (Wołyń, Podole, Polesie, nawet Chełmszczyzna i.t.d.) zostały przez Niemców — postanowieniami traktatu brzeskiego — wcielone do Ukrainy Naddnieprzańskiej. Na terenach tych Niemcy prowadzili propagandę w duchu ukraińskim, usiłowali zorganizować coś w rodzaju ukraińskiej admistracji i.t.d. W poczynaniach tych, wobec absolutnego braku odpowiedniego materiału ludzkiego na miejscu, posługiwali się ludźmi, bądź sprowadzonymi z Ukrainy (z Zadnieprza), bądź z Galicji. Wysiłki agitacyjne tych ludzi pozostawały najzupełniej bezskuteczne: nie tylko Polesie, ale również i Wołyń były w owym czasie na hasła ukraińskie zupełnie niepodatne. Dość dużego rozgłosu nabrała konkluzja, do której, po wytężonej pracy, jako agitator ukraiński za czasów niemieckich na Wołyniu, doszedł w końcu jeden z działaczy ukraińskich w Ziemi Czerwieńskiej: "Ne bude, Hryniu, z cej muki nijakoho chliba" (nie będzie, Hryniu, chleba z tej mąki). Ruch ukraiński był siłą samorodną i żywą na historycznej Ukrainie rosyjskiej, związanej z Rosją w wyniku wojen kozackich w XVII wieku i leżącej na wschód od granic polskich z roku 1772-go, to znaczy obejmującej Zadnieprze (Połtawę, Czernichów itd) i przyczółek mostowy Kijowa; wyrósł on tam w oparciu o tradycje kozackie, jako ruch separatystyczny wobec Rosji. Rozwinął się również wcale bujnie, jako gałąź początkowo odszczepiona od wyhodowanego przez rząd austriacki starorusinizmu, w Ziemi Czerwieńskiej. Ale na Ukrainie polskiej, prawobrzeżnej (w rejonie Berdyczowa, Humania, Żytomierza, Winnicy), zaczynał dopiero nieśmiało, jako wątła roślinka, kiełkować, a na Wołyniu i Polesiu był w ogóle nieznany i był tylko sztucznie, a bez powodzenia, szczepiony przez Niemców.

W chwili załamania się, w końcu roku 1918, potęgi niemieckiej, potęga ta wycofując się ze wschodniej Europy wojskowo, usiłowała pozostawić tam jednak po sobie swój własny system polityczny. Wyrazem tego były rządy atamana Petlury w Kijowie, któremu Niemcy, wycofując się, przekazali władzę (uważając jego poprzednika, hetmana Skoropadskiego, za niezdolnego do ostania się o własnej sile), oraz była republika litewska. Innym wyrazem tego było powstanie republiki zachodnio-ukraińskiej w Ziemi Czerwieńskiej. Polityka niemiecka, śmiertelnie wroga Polsce, pragnęła uniemożliwić powstanie silnego państwa polskiego; uważała więc ze swego punktu widzenia za konieczne z chwilą, gdy okazało się, że rzeczą nieuniknioną jest rozpadnięcie się Austrii, przeszkodzić połączeniu się Ziemi Czerwieńskiej z Polską. Było to możliwe tylko przez oddanie tej ziemi Rusinom i to najbardziej wobec Polski wrogiemu ich odłamowi, jakim był obóz ukraiński. Na kilkanaście dni przed rozejmem na zachodnim froncie miał we Lwowie i w Ziemi Czerwieńskiej miejsce ukraiński zamach stanu, którego celem było zorganizowanie tej dzielnicy w niepodległe państewko, rządzone przez

Rusinów i — tak samo, jak Litwa — wobec Polski nieprzejednanie wrogie. Zamach ten nie tylko nie mógłby się był udać, ale nawet nie mógłby był w ogóle mieć miejsca, gdyby nie był zawczasu starannie przygotowany przez Wiedeń i Berlin.

Zamach ten został sparowany najpierw przez samorzutną przeciwakcję miejscowej ludności polskiej (przeciw-zamach "obrońców Lwowa"), a następnie przez akcję zbrojną państwa polskiego, która doprowadziła stopniowo do całkowitej likwidacji separatystycznego ośrodka politycznego ruskiego w Ziemi Czerwieńskiej. W sprawie Ziemi Czerwieńskiej zwyciężył na całej linii program Dmowskiego: program wcielenia bez żadnych zastrzeżeń i ograniczeń do Polski.

System niemiecki we wschodniej Europie, sformułowany w pokoju brzeskim, a trwający czas pewien również i po upadku potęgi niemieckiej, rozsypał się w ciągu 1919 roku w gruzy; jako jedyny pozostały po nim ślad przetrwała tylko Litwa Kowieńska.

* * *

W okresie formowania się państwa polskiego w latach 1918-1919, a właściwie aż po rok 1922 (sprawa wileńska !) istniały w polityce polskiej dwie koncepcje rozwiązania sprawy naszych ziem wschodnich : koncepcja Dmowskiego i koncepcja Piłsudskiego (do tej ostatniej skłaniał się na ogół też i Paderewski).

Koncepcja Dmowskiego oparta była na założeniu, że naczelnym postulatem polityki polskiej jest stworzenie silnego państwa polskiego. Trzeba państwu temu dać możliwie rozległe, geograficznie zaokrąglone i strategicznie dogodnie ukształtowane terytorium i trzeba skupić w jego granicach wszystkie grupy ludnościowe, które w ramach życia polskiego mogą się, bez szkody dla jego spoistości, pomieścić — zebrać w jedną całość wszystkie rozbite przez katastrofę rozbiorów okruchy, zdolne jeszcze do zrośnięcia się z powrotem w jedno ciało. Koncepcja Dmowskiego polegała na wcieleniu do Polski tych terytoriów, na których polskość była politycznie i kulturalnie (choć bynajmniej niekoniecznie etnograficznie) w przewadze i na zrezygnowaniu — w imię niewikłania się Polski w zbyt trudne, a w skutkach dla niej bezowocne spory — z pozostałych. Wyraziła się ona w tak zwanej "linii Dmowskiego", wyłuszczonej — mniej lub więcej szczegółowo — w szeregu aktów dyplomatycznych w ciągu lat 1916, 1917, 1918 i 1919, określających aspiracje terytorialne Polski na wschodzie. Linia ta przyłączała do Polski, jako prowincję autonomiczną, Litwę w granicach etnograficznych (ze stolicą w Kownie), powiększoną nadto o Tylżę, Kłajpedę i kurlandzką Lipawę, oraz na zasadzie zwykłego wcielenia, Wileńszczyznę, Grodzieńszczyznę, południowe Inflanty wraz z Dyneburgiem, Białoruś wraz z Mińskiem, Słuckiem, Bobrujskiem, Borysowem, Dryssą i Połockiem, Polesie wraz z Mozyrzem, Wołyń wraz ze Starokonstantynowem, część Podola wschodniego wraz z Kamieńcem Podolskim, Płoskirowem i Uszycą, a wedle wprowadzonych do niej w 1919 roku poprawek również i z Barem, a wreszcie całą Ziemię Czerwieńską. Linia Dmowskiego została w roku 1919 prowizorycznie urzeczywistniona w praktyce, mianowicie przez ustabilizowanie się niemal dokładnie tam, gdzie ją ongiś Dmowski wykreślił, polskosowieckiego frontu wojennego ; stało się to, zdaje się, pod wpływem głównie generała Rozwadowskiego.

Koncepcja Piłsudskiego była zarazem śmielsza i mniej śmiała. Obejmowała ona zasięgiem pośrednich swoich zainteresowań Rygę, Witebsk, Mohylew, Żytomierz, Kijów, a nawet Zadnieprze. Ale równocześnie rezygnowała z bezpośredniego przyłączenia do Polski rozległych ziem, które bądź żywiołowo do niej ciążyły, bądź mogły być do niej przyłączone po pokonaniu jedynie nikłych miejscowych oporów. Koncepcja Piłsudskiego polegała na programie zorganizowania na naszych ziemiach wschodnich łańcucha państw i państewek — ukraińskich, białoruskich, litewskich i łotewskich — które złączone byłyby w federację pod przewodnictwem Polski. Państwa te, na wewnątrz, zorganizowane byłyby nie w oparciu o miejscowy żywioł polski, lecz wbrew niemu ; opierałyby się o młode ruchy nacjonalistyczne, wobec Polski separatystyczne i wrogie ; miejscowy żywioł polski byłby z natury rzeczy wydany na łup tych nacjonalizmów, a możliwość wchłonięcia przez życie polskie takich elementów, jak masa ludnościowa białoruska, czy poleska, już nie mówiąc o innych, byłaby przekreślona.

Koncepcja Piłsudskiego okazała się niewykonalną. Podwaliną tej koncepcji było zbudowanie państwa ukraińskiego, co było niemożliwe bez trwałego zdobycia Kijowa, a nawet Zadnieprza, to znaczy bez totalnego pokonania Rosji ; a do tego brak nam było sił. Powstanie państwa ukraińskiego, tego samego, które przed tym budowali Niemcy, i pod tym samym, protegowanym ongiś przez Niemców, Petlurą, jako władcą, oceniane było przez bardzo duży odłam polskiej opinii (z Dmowskim na czele) jako fakt ze stanowiska interesów polskich szkodliwy i niebezpieczny. Nacjonalizmy kresowe bynajmniej nie chciały się federować z Polską, a miejscowa ludność polska bynajmniej nie chciała rezygnować z przyłączenia się do Polski, oraz obawiała się dostać pod władzę separatystycznych nacjonalizmów : popierany przez Piłsudskiego projekt utworzenia sfederowanej z Polską Litwy dwukantonalnej (z kantonem litewskim w Kownie i polskim w Wilnie) obalony został z przyczyny podwójnej, bo Kowno nie chciało federować się z Polską, a Wilno chciało należeć do Polski bezpośrednio, a nie być tylko, wespół z Kownem, z Polską w federacji.

Koncepcja Dmowskiego zwyciężyła więc o tyle, że wszystkie ziemie, które Polska zdołała przed Rosją i innymi tworami politycznymi obronić, wcielone zostały do Polski na prawach zwykłych województw, a nie na zasadzie statutu autonomicznego, lub federacyjnego. Ale terytorialne podstawy koncepcji Dmowskiego, urzeczywistnione nie zostały. Kamieńca Podolskiego, Płoskirowa i Starokonstantynowa, mimo, że zdobyte już zostały przez wojska polskie, Piłsudski zrzekł się wiosną 1920 roku na rzecz Ukrainy w układzie z Petlurą. Dyneburg i południowe Inflanty, zbrojnie odebrane Rosji przez wojska polskie, Piłsudski podarował Łotwie (Łotwa zapłaciła nam za to zastosowaniem na otrzymanym terytorium systemu polityki eksterminacyjnej wobec żywiołu polskiego). Projektowi generała Rozwadowskiego zbrojnego opanowania, we wrześniu 1920 roku, Kowieńszczyzny, będącej w owej chwili aktywnym aliantem Sowietów, przeciwstawił się Piłsudski. W erze rokowań pokojowych w Rydze na czoło w polityce polskiej, dotyczącej spraw kresowych, wysunął się prof. Stanisław Grabski, w swej zmiennej karierze politycznej przeżywający właśnie fazę przynależności do Związku Ludowo-Narodowego, lecz w istocie będący przeciwnikiem zarówno koncepcji Dmowskiego, jak koncepcji Piłsudskiego. Był on zwolennikiem inkorporacji, ale inkorporacji inaczej pomyślanej, niż u Dmowskiego : pojmującej Polskę etnograficznie, a więc unikającej pomnażania jej większą liczbą żywiołów, etnograficznie nie polskich. Prof. Grabski prowadził z ramienia Polski rokowania terytorialne na konferencji pokojowej w Rydze. Nie przedsięwziął on w tych rokowaniach próby obalenia klauzul terytorialnych umowy Piłsudski-Petlura, a więc próby odzyskania Kamieńca. A co więcej, nie upomniał się o Mińsk, Słuck i resztę ziem białoruskich. Zaproponował on linię graniczną, znacznie w porównaniu do linii Dmowskiego skromniejszą i linia ta, po dłuższych pertraktacjach, została przez Sowiety przyjęta "en bloc".[1]

4.

Mogłoby się zdawać, że fakt, iż zwyciężyła w sprawie ziem wschodnich polityka inkorporacji — chociażby inkorporacji tak ograniczonej terytorialnie — powinien był za sobą pociągnąć, jako logiczną konsekwencję, konieczność przyjęcia w polityce wewnętrznej programu otwarcia podwojów życia polskiego również i dla Rusinów i Białorusinów, to znaczy programu wyznaczenia naszym szczepom kresowym miejsca w ramach nie tylko państwa, ale i narodu. Tradycje naszej historii wytykały nam jasno drogę : "*gente Ruthenus, natione Polonus*" — "szczepu ruskiego, narodu polskiego", — to był na naszych ziemiach wschodnich tradycyjny typ życia. Nic nie zmuszało nas do niwelowania życia ruskiego pod strychulec życia ogólnopolskiego, do tępienia miejscowej mowy, do zwalczania miejscowej Cerkwi, do przeszkadzania rozwijaniu się miejscowej regionalnej kultury.[2] Nic

[1]) Fakt ten został ujawniony przez Dąbskiego, przewodniczącego delegacji pokojowej w Rydze, w jego książce "Pokój Ryski", a potwierdzony w trzykrotnej wymianie listów otwartych między prof. Grabskim, a mną, na łamach warszawskiego tygodnika "Myśl Narodowa" w roku 1932, czy też 1933.

Prof. Grabski w wystąpieniach ustnych bronił swej polityki zaniechania z góry wszelkich prób uzyskania w rokowaniach ryskich Mińska twierdzeniem, że posiadanie Mińska byłoby dla Polski niepożądane, gdyż obciążyłoby ją posiadaniem centralnego ogniska ruchu białoruskiego. Argument ten jest jawnie niesłuszny, gdyż Mińsk żadnym ogniskiem ruchu białoruskiego nigdy nie był (ruch ten, jeżeli w ogóle istniał, ogniskował się w Wilnie). Mińsk, przyłączony do Polski, wyglądałby pod względem narodowym nie gorzej, niż Grodno, a lepiej niż Pińsk. Natomiast dopiero Mińsk, pozostawiony Sowietom, oddał sprawę białoruską w ręce sowieckie i stał się dogodnym miejscem na stworzenie antypolskiej kuźni akcji komunistyczno-białoruskiej.

Zasługą prof. Grabskiego jest natomiast odzyskanie powiatów, które dały nam wspólną granicę z Łotwą.

[2]) Całe północne Niemcy mówią — na wsi i w niektórych warstwach ludności miejskiej — językiem dolnosaskim (dolnoniemieckim, Plattdeutsch), — odrębnym językiem germańskim, spokrewnionym z holenderszczyzną i dla zwykłego Niemca niezrozumiałym. W języku tym rozwinęła się wcale bogata literatura, której najwybitniejszym przedstawicielem jest poeta Fritz Reuter. Wychodziło w nim mnóstwo czasopism — literackich i innych. W Hamburgu istniały aż do spalenia się tego miasta w 1943 r. dwa stałe teatry (St. Pauli Theater i Niederdeutsche Buehne), które grywały wyłącznie w tym języku. A jednak nikomu nie przychodziło na myśl, że to wszystko może być dla spoistości narodu niemieckiego niebezpieczne.

również jednak nie zmuszało nas do kapitulowania przed ukraińskim, czy tym bardziej białoruskim nacjonalizmem. Mogliśmy byli stanąć na stanowisku, że uważamy Rusinów i Białorusinów za pełnoprawnych członków narodu polskiego, nie robić z nich "obywateli drugiej klasy", dać im szkoły, które uczyłyby ich przede wszystkim języka polskiego, jako literackiego języka ogólnonarodowego, ale zarazem odnosiły się z pietyzmem do ich mowy i kultury regionalnej, tak, jak to czynią polskie szkoły na Kaszubach, czy na Podhalu; a równocześnie mogliśmy byli zwalczać ukrainizm, nie jako narodowość, ale jako odśrodkową szkodliwą doktrynę.[3])

Niestety, przewagę zdobyły w Polsce w poglądzie na sprawę ziem wschodnich dwie koncepcje, przeciwstawne sobie i zaciekle ze sobą walczące, ale mające to ze sobą wspólnego, że obie pojmujące w sposób etnograficzny naród polski: uważające, że Polak to jest jedynie tylko katolik (ewentualnie protestant, armeno-katolik itd.) mówiący po polsku, że natomiast unita, lub prawosławny, mówiący po rusku, Polakiem być nie może.

Jedna z tych koncepcji, wyznawana przez dość szerokie rzesze ludzi, myślących instynktownie narodowo, ale nie wyciągających konsekwencji z systemu myśli politycznej Dmowskiego, polegała na uznawaniu, że Ukraińcy są wrogami Polski, a więc trzeba ich zwalczać, a wobec tego, że wszyscy Rusini są i muszą być Ukraińcami, więc trzeba zwalczać wszystkich Rusinów. Za jedyny program polityki wobec ziem wschodnich ludzie w ten sposób myślący uważali program przywilejów dla ludności polskiej na Kresach, a represji wobec ludności ruskiej. Ideologiem tego programu — m. in. autorem nieurzeczywistnionego na szczęście pomysłu wyborczych kurii narodowościowych, które by stworzyły trwałą legalną granicę między Polakiem a Rusinem, czy Białorusinem i uniemożliwiły wszelkie procesy asymilacyjne — był prof. Grabski. Program tak pomyślany — w szczegółach formułowany tak, lub inaczej, lecz w generalnych liniach ten sam — znajdował zresztą wyznawców w bardzo różnych i nieraz walczących z sobą obozach politycznych. Program ten pozostał, na ogół, nie wcielonym w życie, aczkolwiek w niektórych chwilach dochodził tu i ówdzie, jako reakcja, chwilowo do głosu, stając się źródłem okresów represji itp.

Drugą koncepcją — koncepcją, która w ciągu dwudziestolecia Polski niepodległej niemal nieprzerwanie była przez państwo stosowana w praktyce, — była, koncepcja, stanowiąca próbę nawrotu do federacyjnej polityki Piłsudskiego. Reprezentowali ją: Leon Wasilewski, Jerzy Osmołowski, Tadeusz Hołówko, wojewoda Józewski i wielu innych, a przede wszystkim sam Piłsudski. Wiązała się ona z dążeniem do stworzenia w granicach Polski (przede wszystkim: na Wołyniu) "Piemontu" ukraińskiego, który byłby punktem wyjścia do zbudowania w przyszłości państwa ukraińskiego, a polegała — w polityce wewnętrznej — na dążeniu do wejścia w porozumienie, za cenę daleko idących politycznych koncesji, z nacjonalizmami separatystycznymi (przede wszystkim — z ukrainizmem), które, tak samo jak prof. Grabski, identyfikowała z ogółem ludności ruskiej.

Przez całe niemal dzieje dwudziestolecia Polski niepodległej snuje się jak nić dążenie do "ugody" państwa polskiego z separatyzmem ukraińskim, — dążenie niewykonalne z samego założenia, gdyż obóz polityczny, który wyznawał ideę łączności narodowej Ziemi Halickiej z Ukrainą i zgodnie ze swoją ideologią dążył do oderwania swego terytorium od Polski, z Polską trwale się pogodzić nie mógł. Ugoda z ukrainizmem — stale upragniona i stale okazująca się nieuchwytnym, nieosiągalnym mirażem, — okupywana być musiała ciągłymi ofiarami z tego, co stanowiło polski narodowy i polityczny interes.

Jedną z takich ofiar było poświęcenie na ołtarzu ukrainizmu obozu staroruskiego w Ziemi Czerwieńskiej.

Wbrew rozpowszechnionemu poglądowi, jakoby starorusini ulegli po pierwszej wojnie światowej całkowitemu zanikowi, twierdzę — i każdy, kto zna Ziemię Czerwieńską nie tylko przez szyby lwowskich kawiarni, ze mną się pod tym względem zgodzi — że prąd staroruski stanowił w masie ruskiej, zwłaszcza w okolicach podgórskich, siłę wcale znaczną, chociaż nie zorganizowaną i nieaktywną, a więc wskutek tego zepchniętą w cień. Nawet gdyby starorusini nadal byli "moskalofilami" (co przeważnie nie miało miejsca, bo prąd staroruski krystalizował się ostatnio przede wszystkim jako prąd lokalny, politycznie umiarkowany i grawitujący do polskości), to leżało w naszym interesie wygrywanie tego prądu, jako siły słabszej, przeciwko panującemu, a jawnie nam wrogiemu ukrainizmowi. Otóż myśmy nie tylko nie popierali starorusinów, aleśmy ich systematycznie zwalczali i łamali represjami, robiąc tym sposobem miejsce ukrainizmowi. Najpotężniejsza instytucja staroruska, jaką była lwowska Stauropigia, była przez lata całe pod zarządem komisarycznym, a komisarzami z ramienia rządu byli — ukraińcy.

Szczególnie wiele ofiar na rzecz ukrainizmu ponieśliśmy na Wołyniu. Z wyjątkiem krótkiego okresu rządów wojewody Dębskiego (przed rokiem 1926), gdy próbowano realizować na Wołyniu politykę, wywodzącą się z koncepcyj Dmowskiego (np. wydrukowano podręczniki szkolne nie w języku literackim ukraińskim, lecz w gwarze wołyńskiej), przez całych lat dwadzieścia od czasów Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich w latach wojennych, aż po koniec rządów wojewody Józewskiego, a nawet i później, stosowana tam była polityka budowania "Piemontu" ukraińskiego. Można śmiało powiedzieć, że oblicze ukraińskie nadane zostało Wołyniowi wysiłkiem polskiego państwa. W pierwszych latach rządów polskich Wołyń, tak samo, jak Polesie, był politycznie zupełnie bezbarwny; były tam nastroje komunistyczne, ale nie było tam ukrainizmu. Gdy państwo zakładało na Wołyniu ukraińskie szkoły, chłop wołyński protestował przeciwko temu: domagał się on szkoły polskiej, gdyż uważał, że w państwie polskim dziecku jego będzie potrzebna znajomość przede wszystkim polskiego języka. To *państwo* polskie sprowadziło na Wołyń z Ziemi Czerwieńskiej około 400 nauczycieli — Ukraińców i rozmieściło ich po wołyńskich wsiach, tak, że zamienili się oni w obejmującą całe województwo sieć ukraińskich agitatorów. To *państwo* polskie osiedliło na Wołyniu na posadach państwowych i samorządowych z górą stu inteligentów-Petlurowców z Zadnieprza, — prawosławnych, a więc bliższych Rusinom wołyńskim, niż nauczyciele z Galicji.[4]) To *państwo* polskie, ustami swych przedstawicieli, prowadziło na Wołyniu propagandę na rzecz ukrainizmu, zakładało, popierało i subwencjonowało ukraińskie instytucje, paraliżowało akcję polityczną i społeczno-organizacyjną miejscowej ludności polskiej. Rezultat nie kazał na siebie długo czekać: z chwilą, gdy lud wołyński został uświadomiony w duchu ukraińskim, odwrócił się on od przywódców ukraińskich, stanowiących ekipę polityczną polskiego wojewody, i opowiedział się po stronie przywódców i organizacji ukraińskich, w pełni niezależnych: najbardziej skrajnych i nieprzejednanych.

Ugoda polsko-ukraińska, niepołączona z rezygnacją przez Polskę z części jej terytorium, była rzeczą niemożliwą w samym założeniu. Wykonywanie polityki tej ugody konsekwentne i bez przerw było rzeczą niewykonalną, bo przyjazny wobec ukrainizmu stosunek władz, wzmacniając jego siły, nie czynił go bynajm-

Książkę tę prześladował szczególny brak szczęścia. Napisałem ją w zimie z 1925 na 1926 rok, w pierwszej redakcji jako zwięzłą broszurę; rękopis doręczyłem, z prośbą o przeczytanie, prof. Grabskiemu, którego uważałem za eksperta od spraw kresowych i w którego istotnych poglądach nie byłem jeszcze zorientowany. Profesor Grabski, rzecz prosta, ustosunkował się do poglądów moich negatywnie. Pod jego wpływem zaniechałem druku, by sprawę raz jeszcze przemyśleć. W latach 1929-1930 opracowałem rzecz na nowo, — już w formie dużej książki, którą wydałem w roku 1932.

Książkę tę przejrzał Roman Dmowski i ocenił pozytywnie jej tezy. Na dyskusyjnym zebraniu dwudziestu, czy trzydziestu czołowych działaczy Stronnictwa Narodowego we Lwowie książka została niemal jednogłośnie przychylnie przyjęta.

Ale w organie prasowym obozu narodowego we Lwowie, na który miał wówczas główny wpływ prof. Grabski, książka została gwałtownie zaatakowana przez pp. Świrskiego i Hrabyka, którzy wkrótce po tym ze Stronnictwa Narodowego wystąpili. Miało to doraźnie większy wpływ na opinię Ziemi Czerwieńskiej, najbardziej tu zainteresowaną, niż zdania, wygłaszane na zebraniach dyskusyjnych.

W dodatku, z przyczyn natury techniczno-wydawniczej, cały prawie nakład książki przeleżał kilka lat na składzie, z którego wydobył się dopiero tuż przed wojną. Tak więc była to — i jest — książka niemal zupełnie nieznana.

---

[3]) Powyższą koncepcję rozwinąłem obszernie w książce p.t. "O program polityki kresowej". W książce tej wysunąłem tezę, że w naszej polityce wobec ludności ziem wschodnich powinniśmy, poza nawiązywaniem do tradycji przedrozbiorowych, czerpać wzory przede wszystkim z polityki francuskiej wobec Bretończyków i Alzatczyków i brytyjskiej wobec celtyckich Walijczyków i Szkotów.

[4]) Oto jeden z przykładów: inżynier Tymoszenko urodził się w Charkowszczyźnie i całym swoim życiem związany był z Zadnieprzem. W czasie wojny działał politycznie, jako stronnik Petlury, w Charkowie i Kijowie. Po wojnie wylądował w Czechach jako profesor akademii ukraińskiej w Podiebradach. Wyszukał go tam wojewoda wołyński p. Józewski, sprowadził go na Wołyń, nadał mu obywatelstwo polskie, stworzył mu warsztat pracy politycznej w duchu ukraińskim wśród ludności Wołynia, spowodował obranie go, jako reprezentanta tej ludności — z którą nic go dotąd nie łączyło — na posła do polskiego sejmu. Ludzie tacy, jak on, stali się pierwszym kośćcem ruchu ukraińskiego na Wołyniu.

niej podatniejszym do kompromisu, ale przeciwnie, pobudzał go do tym zajadlejszych wystąpień antypolskich. Ustępstwa polskie wobec ukrainizmu szły równolegle z paroksyzmami ukraińskiego terroru, aktów sabotażu, morderstw — nawet na osobach największych przyjaciół ukrainizmu (zamordowanie Hołówki !). A ponieważ nawet najbardziej pobłażliwa władza państwowa paroksyzmów takich tolerować nie może, więc pociągały one za sobą fale represyj. Represje te, nie zamierzone i nie przemyślane, nie były wyrazem z góry postanowionego systemu, lecz były podyktowane koniecznością doraźną, zarówno jak rozczarowaniem i irytacją. Nie zwracały się one przeciwko obozowi ukraińskiemu, lecz przeciwko ogółowi ludności ruskiej, a nawet czasem przeciwko ogółowi ludności w ogóle, to znaczy też i przeciw Polakom, tym samym Polakom, którzy byli ofiarami ukraińskiego terroru, wywołującego represje. Represje te — zarówno "pacyfikacje" (np. w roku 1930), jak obóz w Berezie — przybierały czasem formy tego rodzaju, że lepiej się nad nimi dzisiaj nie rozwodzić. Rzecz ciekawa, że represje te przyczyniły się w niemałym stopniu do wzmocnienia obozu ukraińskiego : były one zbyt niekonsekwentne i przypadkowe, by mogły obóz ten sterroryzować i złamać, natomiast w najszerszej masie ludności budziły tyle zrozumiałego oburzenia, że masę tę odstręczały od polskości i rzucały ją—nawet starorusinów — w objęcia ukrainizmu.

W ciągu dwudziestu lat niepodległości nie stosowano wobec ziem wschodnich jednolitego i konsekwentnego programu, który by zmierzał do utrwalenia związku tych ziem z resztą Polski. Przeciwnie, stosowano raczej politykę popierania na tych ziemiach ruchów odśrodkowych ; a jeśli się od tej polityki odchylano, to albo dla stosowania tam nieprzemyślanych i drażniących represji, albo dla stosowania polityki etnograficznie - narodowej, która równie skutecznie, jak ukraińska agitacja, lub skuteczniej jeszcze, Rusinów od Polski odpychała.

Rezultatem dwudziestolecia rządów polskich na Wołyniu i w Ziemi Czerwieńskiej było potężne rozwinięcie się tam i utrwalenie ukrainizmu. Nie tylko starorusinizm został zepchnięty w cień, ale i pozycje etnograficznej polskości zostały tam mocno nadwątlone. Ukraińcy okrzepli, rozwinęli się, posunęli potężnie naprzód proces kształtowania się samowiedzy narodowej w masach, zamienili się w dość wszechstronnie rozwinięte społeczeństwo, mogące się na wielu polach poszczycić godnym szacunku dorobkiem. Ich oblicze polityczne ukształtowało się w sensie zawzięcie i namiętnie antypolskim. Zarazem hodowani i hartowani przez politykę na przemian tolerancji, a nawet wręcz cieplarnianej opieki, oraz brutalnych, niesprawiedliwych, budzących oburzenie represji, a przy tym skutecznie popierani zza kordonu przez Niemców, a trochę także i przez Czechów, mieli oni wszelkie warunki do ogarnięcia najszerszych mas ludności ruskiej swoim wpływem i do urobienia ich w duchu skrajnie antypolskim.

Mimo to, pomimo braku systematycznej w tym kierunku polityki, dwadzieścia lat rządów polskich na Wołyniu, a zwłaszcza w Ziemi Czerwieńskiej wywarło jednak na tamtejszą ludność ruską pewien wpływ w postaci utrwalenia się jej związku z Polską i z polską kulturą. Tak, jak wojna polsko-ruska w 1918-1919 roku miała w niemałym stopniu cechę wojny domowej, tak i dwudziestoletnie zmaganie polityczne polsko-ruskie w okresie następnym miało jednak w sobie coś ze zmagania w obrębie tego samego społeczeństwa jedynie z trudem rozłamującego się na dwoje i zrywającego odwieczne węzły wewnętrzne.

Wobec braku próby zastosowania polityki, będącej konsekwencją programu Dmowskiego, brak jest dowodu, że polityka harmonijnego wplecenia społeczności rusko-halickiej i rusko-wołyńskiej w zbiorowe życie polskie nie była i nie jest możliwa. Dwadzieścia lat przemian i rozwoju w latach 1919-1939 wiele rzeczy przesądziło, przekreśliło, utrwaliło — ale nie zamknęło tam dla nas *wszystkich* dróg i nie rozwiało *wszystkich* możliwości.

A co więcej, owe niepomyślne przemiany dokonały się tylko w Ziemi Czerwieńskiej i na Wołyniu. Ani na Polesiu, ani na ziemiach białoruskich nie było ruchu separatystycznego godnego wzmianki, a próby montowania metodami wołyńskimi ruchu białoruskiego za czasów administracji p. Osmołowskiego, wojewody Beczkowicza i.t.p. zostały dosyć prędko zaniechane. W wielu województwach — m. in. na Polesiu — praktyka i doświadczenie doprowadziły z biegiem czasu do wykrystalizowania się systemu, na ogół nie polegającego na niczym innym, jak na dążeniu do wprowadzenia Białorusinów i Poleszuków w obręb życia polskiego.

Brak poważniejszej (poza komunistyczną) akcji antypolskiej, oraz dokonywający się automatycznym wpływem przebywania w granicach polskiego państwa i w atmosferze jego życia i kultury proces nasiąkania pierwiastkami polskości sprawiał, że ziemie północno-wschodnie, wraz z Polesiem, z żywiołową siłą zrastały się z Polską. Był to proces nieuchwytny, na pierwszy rzut oka nie zawsze widoczny, ale niezwykle głęboki, trwały i mocny.

Tak więc wynikiem dwudziestolecia jest: 1) potężny rozrost ukrainizmu w Ziemi Czerwieńskiej i na Wołyniu, 2) zanik tendencji separatystycznych i utrwalenie się polskiego wpływu w Nowogródzkim, na Polesiu i w białoruskich okolicach Wileńszczyzny i Białostockiego.

(D.n.)

JĘDRZEJ GIERTYCH

UWAGI

DWA MIASTA

WEDŁUG ostatniego austriackiego spisu ludności z r. 1910 Triest zamieszkały był wówczas przez 118.000 Włochów (łącznie z Żydami, którzy podali język włoski jako swój język ojczysty) i 59.000 Słoweńców. Włosi stanowili 62% ogólnej liczby mieszkańców, byli więc już wtedy większością, Triest tworzył jednak rodzaj wyspy włoskiej, gdyż oddzielony był od zwartego włoskiego obszaru etnicznego pasem o zdecydowanej przewadze słoweńskiej. W przylegającym do Triestu powiecie Sesana Słoweńcy liczyli ponad 90% ogółu ludności, a w sąsiedniej prowincji Gorycja około 75%. Po ostatecznym przyłączeniu Triestu do Włoch w r. 1920 odsetek ludności słoweńskiej poważnie spadł, niemniej miasto nie utraciło swego charakteru etnicznej "wyspy".

Spis ludności, przeprowadzony w tymże samym roku 1910 w mieście Lwowie, wykazał, że ludność jego składa się w 85.8% z Polaków, (razem z Żydami, którzy przyznali się do polskiego języka ojczystego), 10.8% Ukraińców i Rusinów, oraz 3,4% obywateli innych narodowości. Polski spis ludności z r. 1931 dał wyniki zbliżone, z tą różnicą, że — w przeciwieństwie do praktyki władz austriackich — władze polskie pozwoliły Żydom zadeklarować w formularzach spisowych swą odrębną narodowość, co większość z nich uczyniła. Mimo to Polacy mieli nadal znaczną przewagę, gdyż stanowili 63.5% ogółu mieszkańców.

Lwów związany był z Polską nie tylko składem swej ludności, ale i charakterem etnicznym sąsiednich terytoriów silniej niż Triest związany jest z Włochami. Miasto połączone było ze zwartym polskim blokiem etnicznym szeregiem powiatów (Przemyśl, Mościska, Rudki, Lwów-powiat), w których Polacy tworzyli większość albo bezwzględną, albo względną. Co więcej na wschód od Lwowa ciągnął się aż po Zbrucz pas, posiadający również absolutną lub relatywną przewagę polską. Ogólnie biorąc w położonej na wschód od Lwowa części Małopolski Wschodniej mieszkało co najmniej 1.200.000 Polaków.

Wreszcie węzły kulturalne i uczuciowe, łączące Lwów z macierzą polską, były również nieporównanie silniejsze od węzłów, łączących Triest z Italią. Nie chcemy przez to zgoła pomniejszać *praetium affectionis* jakie Triest posiadał dla Włoch, zwłaszcza w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat przed Pierwszą Wojną Światową, kiedy hasło *Trentino e Trieste* było naczelnym zawołaniem patriotycznej irredenty włoskiej. Czy jednak dzieje tej irredenty i jej niewątpliwie ofiarnych bojowników dadzą się porównać z sześciu wiekami zmagań i wysiłków polskiego Lwowa, oraz rolą, jaką miasto to odegrało w rozwoju kultury polskiej ?

A przecież w epilogu Drugiej Wojny Światowej — Lwów oderwany został od swej macierzy polskiej, a polskość jego skazano na zagładę. Nie pomogła niezłomna w ciągu całej wojny postawa Polski, kraju, który ze wszystkich narodów sprzymierzonych największe poniósł ofiary dla wspólnej sprawy. Nie pomógł wysiłek wojenny samego Lwowa, który tylu najdzielniejszych lotników dał Bitwie o Wielką Brytanię — bitwie co zadecydowała o losach wojny i uchroniła Europę łącznie ze Związkiem Sowieckim od niewoli hitlerowskiej. Co więcej, Lwów wraz z całą Ziemią Czerwieńską oderwano od Polski bez zapytania się o wolę jego mieszkańców, czy to polskich, czy ukraińskich — wbrew wszystkim uroczystym zapewnieniom i deklaracjom. Podobnie postąpiono z polskim bezsprzecznie Winem i Ziemią Wileńską i resztą naszych ziem wschodnich.

W jaskrawym do tego przeciwieństwie oba mocarstwa anglosaskie bronią zdecydowanie Triestu przed wcieleniem go do Jugosławii. Zarówno Wielka Brytania, jak i Stany Zjednoczone pragnęłyby zasadniczo, by Triest pozostał przy Włoszech ; ostatecznie, w najgorszym razie, zgodziłyby się na utworzenie z niego wolnego miasta, w którego władzach samorządowych przewaga żywiołu włoskiego byłaby z natury rzeczy nadal zapewniona. Jako argument wysuwa się względy natury etnicznej — te same względy, które nic nie znaczyły, gdy chodziło o sprawę Lwowa, Wilna i wogóle sprzymierzonej Polski.

Nie chcemy być źle zrozumiani. Naród polski żywi uczucia najszczerszej sympatii dla narodu włoskiego, która pogłębiona jeszcze została przez udział wojsk polskich w wyzwoleniu Italii w czasie ostatniej wojny. Dalecy też jesteśmy od chęci lekceważenia narodowych aspiracji włoskich. Znane są również uczucia narodu polskiego dla Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Zawsze było jednym z pragnień Polaków, by na granicy włosko-jugosłowiańskiej stworzony został stan rzeczy godzący interesy obu sąsiadujących, a zaprzyjaźnionych z Polską narodów i kto wie, czy do tego by nie doszło, gdyby nie złowrogi obrót wydarzeń w ciągu ostatnich lat trzech.

W uwagach niniejszych chodziło nam jedynie o uwydatnienie, jakie krzywdy i jakie sprzeczności moralne i polityczne leżą u podstaw nowego układu międzynarodowego, ustalanego pod szyldem "Organizacji Zjednoczonych Narodów". Sprzeczności te mogą być przez pewien czas pokrywane przez rodzaj konspiracji milczenia, jedno jest jednak pewne, że niczego trwałego na nich się zbudować nie da.

TRAGEDIA DEPORTOWANYCH

Artykuł pt. "Straty w ludziach", zamieszczony w kwietniowym zeszycie *Myśli Polskiej*, stwierdza m. in., że umowa, zawarta dnia 6 lipca 1945 r. między rządem warszawskim a Sowietami, przewidywała repatriację 400.000 Polaków i Żydów przebywających w głębi Z.S.S.R. Cyfra ta obniżona została później do 300.000.

Obie te ilości są znacznie niższe od faktycznej liczby deportowanych, którzy—po odliczeniu nawet wielkiego odsetka osób zmarłych — muszą jeszcze przebywać w Rosji. Zdawało się jednak, że przynajmniej sporej ich części umożliwiony będzie teraz powrót do Kraju. Tym większe zdumienie budzić muszą dane przytoczone świeżo przez krakowski *Przekrój* (nr. 55, 28 kwietnia — 5 maja 1946 r.), a oparte niewątpliwie na źródłach urzędowych. Wedle tego pisma na przyjazd do Polski zarejestrowało się z Rosji 63.705 osób, tj. zaledwie jedna piąta część liczby przewidzianej przez umowę z dnia 6 lipca 1946 r. Co się stało z resztą nie wiadomo. Nad losem tych nieszczęśliwych zapada coraz bardziej nieprzenikniona zasłona tajemnicy. Równocześnie okazuje się, jakimi to "wpływami" cieszy się reżim pp. Bieruta i Osóbki-Morawskiego w Moskwie.

Tenże sam artykuł *Przekroju* podaje, że z "terenów objętych granicami Polski w roku 1939" tj. z ziem wschodnich (prawdopodobnie łącznie z Litwą Kowieńską) zarejestrowało się na wyjazd 1.823.736 osób. W naszych rozważaniach liczbę zarejestrowanych do transferu Polaków i Żydów z ziem wschodnich, podaliśmy — opierając się na poprzednich informacjach prasy reżimowej — na 1.600.000. Cyfra przytoczona przez *Przekrój* jest wyższa o z górą 200.000. Ponieważ jednak ilość tych, którzy mają przybyć z głębi Z.S.S.R., jest znacznie mniejsza od ilości zapowiadanej poprzednio, przeto łączna suma obu kategorii: 1.887.441 nie tylko nie przekracza sumy, podanej w naszym artykule, ale nawet niezupełnie do niej dociąga. Ogólne zestawienia ludnościowe ulegają więc tylko minimalnym zmianom.

PODWÓJNA MIARA

Katoliccy biskupi niemieccy w strefach okupacyjnych brytyjskiej, amerykańskiej i francuskiej wydali ostatnio kilka listów pasterskich, w których w ostrych słowach zaprotestowali przeciw warunkom, w jakich odbywa się usuwanie ludności niemieckiej z obszarów, przyłączonych do Polski, oraz z Kraju Sudeckiego. Listy te zamieszczone zostały w obszernych streszczeniach przez angielską prasę katolicką, oraz niektóre dzienniki (jak *The Times*).

Nikt nie może odmówić prawa biskupom niemieckim do przemawiania w obronie ich rodaków, czy to katolików, czy protestantów, jeśli dzieje im się niezasłużona krzywda. We wspomnianych enuncjacjach spotykamy jednak akcenty i sformułowania, które wywołać muszą najżywszy niepokój.

Przede wszystkim więc widoczna jest w tych listach dążność do obciążenia narodu polskiego odpowiedzialnością za wszystko, co zaszło od chwili klęski Niemiec w ich byłych wschodnich prowincjach. Niezliczone ekscesy, jakich na obszarach tych dopuścili się żołnierze sowieccy, przemilcza się najstaranniej — a fakt, że obecna administracja warszawska stanowi narzuconą narodowi polskiemu z zewnątrz dyktaturę drobnej grupy komunistów i obcych agentów, również na ogół pomijany jest milczeniem. Jedynie arcybiskup Groeber z Fryburga w Bryzgowii czyni do tego lekkie aluzje, przyznając istnienie pewnej liczby "dobrych chrześcijańskich Polaków". Nie przeczy on także faktowi, że Niemcy popełnili w Polsce "przestępstwa najokrutniejszego rodzaju". Wszystko to razem jednak nie przeszkadza mu zarzucać narodowi polskiemu czarnej niewdzięczności wobec katolików niemieckich i braku uczuć chrześcijańskich.

"Gdzie jest w tej straszliwej nędzy — woła arcybiskup — współczujące serce i pomocna dłoń Kościoła? Czyżby katoliccy biskupi polscy zapomnieli zupełnie o obowiązku miłości bliźniego?"

Słów tych czytać doprawdy nie można bez uczucia głębokiego zdumienia. Mało jest chyba w dziejach świata zbrodni, które porównać można z tym, czego Niemcy dokonali i próbowali dokonać w Polsce w latach 1939-1945. Realizowany w tymże okresie — choć na szczęście nie doprowadzony do końca — plan zmierzał wyraźnie do zupełnej likwidacji jednego z historycznych narodów europejskich, jakim jest naród polski, przez zniszczenie jego kultury, wytępienie warstw kierowniczych w najszerszym tego słowa znaczeniu, poważne zredukowanie stanu liczebnego i uczynienie z reszty rezerwuaru niewolniczej siły roboczej dla Wielkiej Rzeszy. Plan ten, o czym nie wolno zapominać, wprowadzany był w życie przez rząd niemiecki, powołany z wewnątrz wolą społeczeństwa niemieckiego i cieszący się poparciem znacznej większości tego społeczeństwa, nie wyłączając dużego, jeśli nie przeważającego odsetka katolików.

W tych warunkach, gdy siła militarna Niemiec poczęła się załamywać, przypuszczano powszechnie na Zachodzie, że gnębiona w nieludzki sposób ludność polska odpłaci się swym ciemięzcom w odpowiednim momencie straszliwą zemstą. Wszakże nic takiego się nie stało. Doniesienia neutralnych obserwatorów (np. korespondenta berlińskiego *Neue Zuericher Zeitung*), stwierdzały, że Polacy zachowali się wobec uciekających cywilnych Niemców w sposób zdumiewająco ludzki i poprawny.

Ofiarą ekscesów wojsk sowieckich padali w równej mierze Niemcy, jak miejscowa ludność polska. Znaczna liczba Polaków z Warmii, Mazur, Pogranicza i Śląska deportowana została — jak pisaliśmy o tym obszerniej w poprzednim zeszycie *Myśli Polskiej* — w głąb Rosji, skąd bardzo niewielu tylko danym było powrócić. Za wojskami sowieckimi nadciągać zaczęły na ziemie odzyskane — obok pierwszych osadników polskich "z prawdziwego zdarzenia" — także setki różnego rodzaju kryminalnych i półkryminalnych elementów, "szabrowników" i łupieżców, którzy dali się we znaki równie dobrze Polakom, nie wyłączając świeżo przybyłych osadników, jak Niemcom.

Jest jednak rzeczą niedorzeczną i niesprawiedliwą obciążać odpowiedzialnością za te wszystkie wydarzenia, podobnie jak za różne poczynania bierutowej administracji i milicji — naród polski. Gdyby w Warszawie znalazł się od pierwszej chwili normalny, prawowity rząd polski, mający za sobą poparcie społeczeństwa, stosunki zarówno w terenach odzyskanych, jak i w reszcie kraju, przedstawiałyby się z pewnością zupełnie inaczej. Nie Polacy są winni, że tak się nie stało.

Nawet jednak w obecnych, jakże wysoce nienormalnych warunkach na nowoprzyłączonych terenach osiedliły się już blisko dwa miliony Polaków, równocześnie zaś położenie ludności niemieckiej uległo wydatnej poprawie. Stwierdził to m. in. w swym przemówieniu na akademii trzeciomajowej w Londynie p. Foster Anderson, sekretarz generalny Rady Towarzystw Anglo-Polskich, który niedawno objechał całą Polskę. Szczególnie uderzyło go właśnie ludzkie ustosunkowanie się ludności polskiej do Niemców.

Jeśli zaszły jakieś wybryki czy wypadki niewłaściwego zachowania się, to należy nad nimi ubolewać i je potępiać, czyż jednak w istniejących warunkach dało się ich całkowicie uniknąć? Arcybiskupi Groeber mówił o "zatrutym nasieniu" nienawiści, jakie kiełkować poczyna w narodzie niemieckim z powodu sposobu, w jakie go potraktowano, równocześnie jednak wydaje się domagać, by naród polski składał się z samych aniołów. Osobliwie podwójna to miara!

W jego liście pasterskim uderza nadto akcent zdecydowanego imperializmu i gloryfikacji zaborów niemieckich na wschodzie. Trudno bowiem inaczej zrozumieć wzmiankę o "pełnej sławy" historii Zakonu Krzyżackiego i "chrześcijańskich wartościach" tego Zakonu. Równocześnie arcybiskup Groeber podkreśla rzekome prawa niemieckie do Śląska, Warmii i innych obszarów, a nawet do Gdańska.

Czyżby doprawdy nie przemknęło mu nigdy przez myśl, że powrót do Polski tych terytoriów jest uzasadniony choćby jako ekspiacja i częściowe odszkodowanie potwornych krzywd, zadanych narodowi polskiemu przez Niemcy w ciagu Drugiej Wojny Światowej?

Stanowisko katolickich dostojników Niemiec napawać musi każdego Polaka głębokim smutkiem. Ustalenie jakiegoś normalnego współżycia między Polską a jej sąsiadami jest niezbędne dla odbudowy cywilizowanej społeczności narodów w Europie. Żywioły katolickie mogłyby w tym zakresie odegrać doniosłą rolę. Niestety, wystąpienia tego rodzaju, jak wyżej opisane, miast leczyć — rozjątrzają jeszcze bardziej świeże rany.

DEKLARACJA R.P.S.P.

Zapowiedź rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych odbiła się szerokim echem w kraju i na emigracji, budząc wszędzie zrozumiałą gorycz i niepokój.

Rada Polskich Stronnictw Politycznych, w skład której wchodzą przedstawiciele pięciu ugrupowań politycznych: Stronnictwa Narodowego, P.P.S., Stronnictwa Pracy, Stronnictwa Demokratycznego i Stronnictwa Ludowego "Wolność", postanowiła dać wyraz niezależnej opinii polskiej o tej sprawie i skierowała do premiera Wielkiej Brytanii, Attlee, *pro memoria*.

Pismo Rady P.S.P. utrzymane jest w tonie stanowczym i stwierdza, że "likwidacja Polskich Sił Zbrojnych dziś, kiedy jeszcze nie zebrała się konferencja pokojowa, kiedy nie określone zostały warunki egzystencji Polski, jako państwa niezależnego, jest decyzją utrwalającą rządy komunistyczne w Polsce", oraz że "Tolerowanie obecnej sytuacji prowadzi do ugruntowania władztwa sowieckiego w Europie Środkowo-Wschodniej i wzmożenia potencjału wojennego Rosji, co w dalszej konsekwencji umożliwi jej nową agresję". Postanowienie Rządu Brytyjskiego Rada P.S.P. określa jako jednostronną decyzję, "która godzi w poczucie niezależności Narodu Polskiego i sprzeczna jest z układem anglopolskim z r. 1939".

Wreszcie Rada P.S.P. stwierdza, że "Zagadnienie przymusowego wychodźctwa polskiego, obejmującego zarówno zdemobilizowanych żołnierzy, jak i osoby cywilne, stanowi jedną nierozerwalną całość" i domaga się prawa posiadania własnego przedstawicielstwa dla Polaków za granicą. *Pro memoria* Rady P.S.P. występuje o przyznanie prawa opieki dla wszystkich Polaków, którzy nie mogą dziś wrócić do kraju, a więc dla żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, b. jeńców wojennych i b. Armii Krajowej, oraz członków b. organizacji Polski Podziemnej, a także wysiedleńców i uchodźców polskich, którzy przeważnie przeszli piekło obozów niemieckich i sowieckich.

Jak się dowiadujemy, Rząd Rzeczypospolitej w Londynie wystosował również oświadczenie w sprawie demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych.

Nasze czynniki oficjalne a zwłaszcza wyżsi dowódcy polscy są dziś wystawieni na nową próbę, z której pragnęlibyśmy, żeby wyszli obronną ręką.

NIE FAIR

Wiedzieliśmy, że sprawa polska jest przedmiotem ciągłych kompromisów i kapitulacyj, ale sądziliśmy, że przynajmniej pewne pozory i formy będą zachowywane. Pomyliliśmy się jednak.

Oto organizatorzy święta zwycięstwa w dniu 8 czerwca zaprosili do udziału w defiladzie przedstawicieli armii rządu komunistycznego w Warszawie, a pominęli tych, którzy kosztem najcięższych ofiar zwyciężali pod Narwikiem, Tobrukiem, Monte Cassino, Falaise, Bolonią. Nie zaproszono na defiladę sławnych w całym świecie żołnierzy polskich. Zrobili swoje, mogą odejść. . . .

Dodajmy, że zarówno delegacja Armii Czerwonej jak i oddziałów Żymierskiego odmówiły udziału w defiladzie. Na nic się zatem przydało tak bolesne zranienie uczuć żołnierza polskiego, jakiego się dopuścili organizatorzy defilady zwycięstwa.

Zaproszeni na paradę lotnicy polscy z "Battle of Britain", jak się dowiadujemy, nie wezmą udziału w defiladzie. Rozumiemy doskonale decyzję lotników.

Nie mogło być inaczej.

10-CIOLECIE ŚLUBOWAŃ

Dnia 24 maja 1936 r. 20.000 akademików, którzy ze wszystkich wyższych uczelni w Polsce zjechali się do Częstochowy, złożyło swe ślubowanie realizowania zasad katolickich we wszystkich dziedzinach życia. Ślubowanie odbyło się bardzo uroczyście, przy udziale Episkopatu polskiego i 80.000 Polaków różnych warstw społecznych, którzy wraz ze studentami podążyli na Jasną Górę. Odbiło się ono szerokim echem po Polsce. U jednych postawa studentów wiązała się z nadzieją lepszej przyszłości Polski — drudzy patrzyli na nią krytycznie, wręcz odmawiając studentom szczerości uczuć. Krytyka ta miała raczej podłoże polityczne, bo w symbiozie z uczuciami katolickimi polskiej młodzieży pozostawały uczucia narodowe, które w Polsce były wówczas niestety zwalczane przez koła oficjalne.

Wyraźniej niż przed dziesięciu laty widzimy dziś, jak droga, na którą wstąpiła młodzież akademicka, była słuszna, a przynajmniej widzą to ci, którzy jej nie doceniali. Nie ma bowiem innego lekarstwa na dzisiejszy chaos w świecie, jak sięganie do zasadniczych podstaw, niezmiennych i zawsze obowiązujących. Nie uzdrowi się dzisiejszych stosunków w świecie operując półśrodkami. Na chorobę niemoralności i skutków z niej wynikających istnieje jedyne tylko lekarstwo: jest nim oparcie życia jednostki, grup społecznych, narodu, państwa, na zasadach moralnych. Z ufnością dlatego patrzyliśmy na młodzież akademicką, która zasady te chciała realizować w praktyce, a zewnętrzny wyraz temu i jakby manifestacyjną zapowiedź swej pracy w tym kierunku dała 24 maja 1936 r. na Jasnej Górze.

Zrzeszenie Studentów Polaków Zagranicą przy obecności delegatów ośrodków studenckich z W. Brytanii zwróciło uwagę na zobowiązania, wynikające ze ślubowań na Jasnej Górze, urządzając w Kościele Polskim Mszę św. dnia 26 maja br. i składając votum przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w tym kościele. Piękne kazanie z tej okazji wygłosił ks. Rektor Staniszewski. Skromna ta uroczystość winna być dla studentów polskich na obczyźnie przypomnieniem, że manifestacja religijna przed 10 laty była jedynie punktem wyjścia i praca nad realizacją ślubowań obowiązuje.

ZNAMIENNY FAŁSZ

W organie Armii Czerwonej *Wolność*, wydawanym w Poznaniu, zajęto się wznowieniem naszego pisma i artykułem prezesa Bieleckiego p.t. " Wielka gra ". Organ sowiecki pisze, że " Pan Bielecki żąda przygotowania powstania w Polsce i marzy o nadejściu " pożądanej chwili dla wojny. "

Nie dziwi nas, że komunistyczna *Wolność* zauważyła istnienie *Myśli Polskiej*. Jesteśmy ruchem, który można popierać lub zwalczać, ale przeskoczyć lub nie dostrzec nas nie można. Nie zaskoczyło nas również całkowite przeinaczenie treści artykułu prezesa Bieleckiego i zacytowanie ustępu, którego w ogóle nie ma w artykule. Fałszowanie tekstów wchodzi w zakres metod polemicznych " wschodniej demokracji ". W artykule *Myśli Polskiej* z marca r.b. nie tylko nie było nawoływania do powstania, ale wyraźnie ostrzegano przed liczeniem na " wojnę lada miesiąc ".

Natomiast zastanawia nas fakt, dlaczego sfałszowano tak jaskrawo właśnie nie co innego, jak sprawę *powstania*. Są czynniki w świecie, którym zależy na dalszym niszczeniu biologicznym narodu polskiego. Tak jakby mało jeszcze polskiej krwi spłynęło, jakby komuś trzeba było nowych ofiar i podsycania walki czynnej w Polsce w warunkach, które dziś z góry skazują ją na klęskę. Notujemy znamienne przekręcenie artykułu z *Myśli Polskiej*, ażeby przestrzec społeczeństwo polskie i wskazać, że komuś bardzo się śpieszy do wywołania nowego odruchu zbrojnego.

RADYKALIZM ALE JAKI ?

Niejeden z naszych lewicujących inteligentów, chcąc podeprzeć swoje "radykalne" poglądy społeczno-ustrojowe, powołuje się na tradycję Konstytucji Majowej. Ma ona świadczyć o rewolucyjnym charakterze polskich reform społeczno-państwowych z końca 18-go stulecia i wywodzić się z ducha rewolucji francuskiej. Zwłaszcza to ostatnie stwierdzenie dogadza naszym "postępowcom", którzy — miast dawać własne rozwiązania w dziedzinie społeczno-ustrojowej — wolą naśladować frazeologię obcą i prześcigać się w radykaliźmie z komunizmem, sądząc naiwnie, że ich retoryka "lewicowa" jest skuteczną bronią w walce z Sowietami.

Warto tedy w 155-tą rocznicę konstytucji 3 maja przypomnieć, na co zwrócił przed kilku laty uwagę prof. O. Halecki, że ustawa majowa nie jest faktem izolowanym w naszych dziejach, zrodzonym z naśladownictwa rewolucyjnych reform francuskich, lecz związana jest ściśle z naszą przeszłością i odznacza się tym samym umiarem, jaki cechuje poprzedzające ją pomniki ustroju staropolskiego. W przeciwieństwie do licznych badaczy, którzy zestawiali Konstytucję Majową z późniejszymi konstytucjami z roku 1807 i 1815, prof. Halecki porównał ustawę z dnia 3 maja z aktami, które ją poprzedziły, a mianowicie ze Statutami Kazimierzowskimi (wiek XIV) i z Unią Lubelską (r. 1569). Wykazał on, że Konstytucja Majowa nie jest aktem oderwanym w historii Polski Przedrozbiorowej, nie jest wyjątkiem narzuconym z zewnątrz, ale że organicznie wyrasta z epok poprzednich i stanowi jakby syntezę staropolskiego dorobku ustrojowego. Innymi słowy jest ogniwem ewolucyjnym w naszych dziejach, a nie skokiem rewolucyjnym, importowanym z zewnątrz. Konstytucja Majowa nie miała nic wspólnego z radykalizmem społecznym obcego stempla, sprzecznym z tradycją polską. A mimo to, albo raczej dzięki temu, była ona wielkim krokiem naprzód w dziedzinie reform społeczno-ustrojowych, rozszerzała pojęcie narodu na inne warstwy, aniżeli szlachta i powoływała mieszczaństwo do współrządów, a zatem i do odpowiedzialności za państwo, wyzwalała chłopa z ucisku i poniżenia.

Niestety jej śmiałe i mądre postanowienia nie mogły już być wprowadzone w życie. Przyszły rozbiory i znikło państwo polskie.

I dziś znów pozbawieni jesteśmy niepodległości. Zagadnieniem głównym nie jest obecnie pytanie: Polska ale jaka? Wiadomo, że o nawrocie do niesprawiedliwości i ucisku nie ma mowy, masy polskie unarodowiły się do tego stopnia w czasie wojny pod obuchem ciężkich przejść, że nie pozwolą na rządy społecznego i gospodarczego wyzysku. Ale żeby móc krzywdę usunąć i zgodnie z wolą narodu życie polskie ułożyć, trzeba przede wszystkim odbudować państwo i pozbyć się obcej przemocy. A zatem Polska bez "ale", w której naród nasz mógłby swobodnie decydować o tym, jaki ma być ustrój społeczno-polityczny naszego państwa.

Jesteśmy pewni, że chłop i robotnik polski o wiele lepiej rozumie wagę i kolejność zadań, jakie przed nami stoją, aniżeli niejeden podtatusiały jakobin na bruku londyńskim.

KONSYSTORZ

W perspektywie paru minionych miesięcy odbyty w lutym b.r. Konsystorz Watykański nabiera odpowiedniej wyrazistości, która zezwala już na pełniejszą ocenę.

Był to normalny akt wewnętrznego życia Kościoła. Watykan w ciągu wieków niejednokrotnie był świadkiem dużo donioślejszych zebrań, Soborów, czy jubileuszy papieskich. Nie dochodząc takiego znaczenia, ostatni Konsystorz przekraczał jednak rolę zwykłych konsystorzy, na których ogłasza się światu nowych purpuratów kościelnych. Tym razem inne były okoliczności otaczające, i niezwykła liczba nowych dostojników, a też i niezwykła rozmaitość ich pochodzenia narodowego.

Okoliczności były inne, bo inna jest sytuacja świata po tej najokrutniejszej z wojen. Świat, w rok po zwycięstwie, znajduje się w rozsypce i dalej od pokoju niż kiedykolwiek. Co gorsza świat w rok po zwycięstwie jest bez busoli, gdyż zwycięskie mocarstwa ze sobą skłócone są niezdolne światu dać gwarancję przewodnictwa.

Na tym tle rośnie ogrom autorytetu Kościoła Rzymskiego. Opoka Piotrowa od dwu tysięcy lat nieledwie stoi niewzruszona w odmęcie zmieniających się i zwalczających różnych ideologii. Doktryna katolicka rozporządzająca zdumiewającą organizacją i dyscypliną waruje nadal ludzkości takie quantum mądrości i doświadczenia, jakich gdzie indziej znaleźć nie sposób.

Niemniej każda wojna, zwłaszcza powszechna, stanowi dla Kościoła i papiestwa okres ciężkiej próby. Kościół, właśnie jako katolicki t.zn. powszechny, jest z konieczności instytucją międzynarodową, a więc w czasie wojny powszechnej instytucją z konieczności rozbitą między walczące narody. Dla uniknięcia rozlicznych niebezpieczeństw groźnych dla wiernych Kościół musi niejednokrotnie rezygnować wtedy z wolności słowa i czynu. Dla celów strategicznych musi ponosić ofiary taktyczne.

Tak i w tej wojnie. Znalazłszy się geograficznie w orbicie państw Osi, Watykan, aczkolwiek protestował stale przeciw totalizmowi hitlerowsko-faszystowskiemu, nie mógł robić tego tak głośno, jakby tego był pragnął. Stąd zarzuty miotane dziś w Watykan przez totalizm sowiecki.

Sytuacja światowa, zmącona i niewyraźna, uczyniła z ostatniego Konsystorza akt światowej doniosłości.

Po raz pierwszy od r. 1939 Kościół mógł bez przeszkód zewnętrznych ściągnąć do Rzymu ogromną ilość swych dostojników z całego globu. Dokonawszy nominacji największej w swej historii ilości nowych kardynałów, Papież Pius XII równocześnie głośno podkreślił powszechność Kościoła, przełamując zasadę większości włoskiej w Świętym Kolegium i wprowadzając do niego kardynałów z czterech części świata, bez względu na rasę i narodowość (po raz pierwszy w historii mamy tu kardynała chińskiego).

Jeżeli zważyć, że wojna ostatnia toczyła się około doktryny, z punktu widzenia katolickiego w najwyższym stopniu kacerskiej i heretyckiej, doktryny *Herrenvolk'u*, wyłączności rasowej i narodowej, — owo głośne proklamowanie katolickości t. zn. powszechności Kościoła staje się aktem i na czasie i wręcz historycznym. Aczkolwiek z naciskiem stwierdzić należy, że nie ma tu nic nowego, bo Kościół zaświadczył jeno lepiej i głośniej o swoim nazwisku: miano *katolickiego* Kościoła od początków jego istnienia oznaczało przecież Kościół *Powszechny*.

Drugą cechą ostatniego Konsystorza jest jego postawa niewątpliwie i świadomie antytotalitarna w znaczeniu roku 1946, t. zn. antybolszewicka. Stąd nieustanne ataki Moskwy na Watykan i Papieża. Trudno nie odnieść wrażenia, że idzie tu o starcie się dwu światów i dwu potęg. Wszystkie spory i swary uboczne powoli odchodzą na bok. Zostaje sprawa o rzeczy istotne.

I tu Watykan jest niewzruszony, właśnie dlatego, że idzie już o rzeczy istotne, o rodzinę, o wolność sumienia, o wolność wychowania młodego pokolenia, o całe życie chrześcijańskiej społeczności, o stosunek Narodu do Państwa, które nie może być państwem totalitarnym bez popadnięcia w konflikt z Kościołem, o dobra podstawowe i dla narodu i dla jednostki.

Świadomość tej walki o rzeczy istotne unosiła się nad Rzymem w czasie Konsystorza. Dzięki sprawności swojej organizacji Kościół zdołał rozesłać tę prawdę i hasła na cztery strony świata.

Dojdą one do najodleglejszych jego zakątków — tam nawet, gdzie nie trafiają jeszcze slogany idącej na podbój świata Moskwy !

W tej dziejowej pracy Kościoła zwraca uwagę jego *ciągłość* działania, której właśnie zawdzięcza swą siłę i odporność. Ostatnim aktem Piusa XI były jego dwie encykliki, kolejno wymierzone przeciw hitleryzmowi i bolszewizmowi. Pius XII ogląda hitleryzm w gruzach. Czy będzie mu dane w czasie Swego pontyfikatu widzieć wyzwolenie uciskanych dziś przez inną tyranię narodów? Trudno przewidzieć. Jedno jest pewne, że jeśli nie ten pontyfikat, to inny oglądać będzie zwycięstwo dobrej sprawy.

Młyny Boże powoli czasem mielą, ale dobrze.

LOS UCHODŹCÓW

SESJA Specjalnego Komitetu do spraw uchodźców i wysiedleńców, zorganizowanego na podstawie uchwały Zgromadzenia O.N.Z. z dnia 16 lutego 1946 r., dobiegła końca. Raport Komitetu na Radę Gospodarczą i Społeczną, który w zasadniczych punktach został już opracowany, zamknie pierwszy etap prac O.N.Z. nad zagadnieniem, uznanym obecnie za jedno z naczelnych oraz pilnych (*urgent*) zagadnień międzynarodowych. Mimo tej nagłości, opracowanie wstępne, dokonane przez Komitet Specjalny, będzie w dalszym ciągu ponownie rozpatrywane na czerwcowej sesji Rady Społecznej i Gospodarczej, poczem zostanie rozesłane wszystkim członkom O.N.Z. do zaopiniowania i w końcu wróci na następną sesję Rady Gospodarczej i Społecznej, która opracuje ostateczny tekst raportu dla przedłożenia Zgromadzeniu O.N.Z. we wrześniu b.r. Dopiero Walne Zgromadzenie poweźmie decyzję, która będzie realizowana w tempie "możliwie najszybszym". Jak twierdzą optymiści, zastosowanie tego tempa pozwoli na ostateczne zmontowanie nowej organizacji opieki nad uchodźcami (*refugees*) i wysiedleńcami (*displaced persons*) przed 1 stycznia 1947 r. Gdyby to się nie udało, to wobec zamierzonej w tym terminie likwidacji działalności UNRRA w Europie, powstanie konieczność szukania sposobu jakiegoś tymczasowego załatwienia.

Obecny pierwszy etap prac O.N.Z. nad zagadnieniem uchodźców i wysiedleńców rozpoczął się 28 stycznia (w dniu tym Komisja Trzecia Walnego Zgromadzenia odbyła swe pierwsze posiedzenie) i będzie trwał do końca maja, kiedy wstępny raport Komitetu Specjalnego ujrzy światło dzienne. Wydaje się więc, że sprawa tymczasowego rozwiązania stanie się naprawdę naglącą i będzie stanowiła punkt ciężkości prac Rady Społecznej i Gospodarczej. Niezależnie jednak od tego, czy opiekę będzie wykonywał projektowany organizm specjalny, czy też jakaś jego tymczasowa namiastka — podstawy tej opieki będą prawdopodobnie te same, odpowiadające tezom, opracowanym przez Komitet Specjalny w czasie londyńskiej sesji.

Sesja Komitetu Specjalnego była niezmiernie trudna i pracowita. Jak i poprzednio, w okresie pierwszych dyskusji na Zgromadzeniu O.N.Z., występowały dwie tendencje, które można nazwać "humanitarną" i "totalistyczną". Ta ostatnia, reprezentowana przez Związek Sowiecki i pięciu jego satelitów, występowała niezwykle energicznie dzięki sprawnej organizacji oraz istnieniu niewątpliwego pokrewieństwa ideowego rządów, określonych przez jednego z delegatów jako "sowiecka rodzina" (Soviet family). Kierunek humanitarny w większości zagadnień istotnych uzyskiwał przewagę, jakkolwiek różnice, dzielące poszczególne delegacje, były nieraz bardzo znaczne i o jakimkolwiek bloku "humanitarnym" nie mogło być mowy. Wszystkie delegacje państw demokratycznych cechowało stałe dążenie do osiągnięcia istotnego i trwałego kompromisu z blokiem sowieckim. Zwłaszcza delegacja francuska posuwała się w tym dążeniu tak daleko, iż nieraz trudno było zdać sobie sprawę, czy rzeczywiście posiadają jeszcze dawną moc piękne tradycje tolerancji, tak niegdyś charakterystyczne dla wielkiego narodu francuskiego. Mimo wszystko kompromis w najbardziej istotnych punktach okazał się nie do osiągnięcia. Mniejszość "totalistyczna" zażądała i uzyskała włączenie do raportu w postaci aneksów specjalnych najważniejszych swych odrzuconych wniosków. Jakkolwiek wydaje się zgoła nieprawdopodobne, aby Rada Społeczna i Gospodarcza te wnioski przyjęła — to jednak dyskusja nad nimi oraz walka w opinii publicznej będzie trwała nadal i istnieje niebezpieczeństwo, że ustawiczne ataki ugrupowania totalistycznego będą w tym lub owym punkcie osiągały częściowe sukcesy. Sprzyja temu niejasność niektórych formuł przyjętych przez większość w wyniku usiłowań dojścia do kompromisu; kompromis został udaremniony przez nieustępliwe stanowisko "rodziny sowieckiej", lecz jak to często bywa — pozostawił ślady w tekście uchwał, z którymi będzie w przyszłości co najmniej dużo kłopotu, jeśli się nawet uda uniknąć konsekwencji, niezgodnych z właściwymi dążeniami większości delegacji.

Najważniejszą częścią raportu są określenia pojęć "uchodźców" i "wysiedleńców" oraz tych kategorii osób, które nie zostaną objęte opieką przyszłej organizacji międzynarodowej. Z powodu braku miejsca nie sposób jest cytować dokładnie wszystkich formuł tej bardzo skomplikowanej części raportu. Zasadnicze określenie "uchodźcy" i "wysiedleńca" jest ujęte bardzo szeroko. Obejmuje ono wszystkie kategorie Polaków, znajdujących się obecnie za granicą, nie wyłączając i t.zw. "starej emigracji", która nie nabyła jeszcze obywatelstwa obcego i nie chce korzystać z opieki

konsulatów administracji warszawskiej. Jakkolwiek pierwszym zadaniem nowej organizacji ma być repatriacja do krajów pochodzenia wszystkich uchodźców i wysiedleńców którzy zechcą tam wrócić, to jednak zasada nie muszania nikogo do powrotu została całkowicie zachowana. Odmowa powrotu może nastąpić w warunkach "całkowitej wolności" (*in complete freedom*), po zapoznaniu się z faktami, włączając w to informacje dostarczone przez rząd państw pochodzenia, przy czym za wystarczające (*valid*)powody odmowy są uznane, prócz obawy prześladowania opartej o rozsądne przypuszczenia (*fear of persecution based on reasonable grounds*), również i inne motywy natury politycznej które "będą uznane za wystarczające przez przyszłe ciało międzynarodowe". Zgodnie z powziętą jeszcze w lutym b.r. uchwałą Zgromadzenia opieką międzynarodową nie będą wcale objęci "przestępcy wojenni, quislingowie i zdrajcy" (*war criminals, quislings and traitors*); lecz rozumiejąc, że niejasny charakter tych kategorii mógłby doprowadzić do nadużywania tego postanowienia celem pognębienia przeciwników politycznych rządów totalistycznych, Komitet uchwalił, że winna powstać specjalna procedura quasi-sądowa (*quasi-judicial*) dla zapewnienia bezstronnego i sprawiedliwego (*impartial and equitable*) zastosowania przyjętych zasad.

Do formuł przyjętych przez większość konferencji ze względu na wepomniane wyżej tendencje do kompromisu, należą zwłaszcza następne dwie, które — zależnie od interpretacji — mogą być szeroko wykorzystywane przez obskurantów totalistycznych i ich świadomych lub nieświadomych popleczników. Po pierwsze: do całkowicie poprawnego określenia, kim są wysiedleńcy (*displaced persons*), została dodana w postaci uwagi końcowej formuła, zaprojektowana przez delegację Z.S.S.R., że "o ile przyczyny ich przesiedlenia (*displacement*) przestały istnieć, winni oni być repatriowani możliwie szybko" — coprawda z zastrzeżeniem ich prawa do odmowy repatriacji. Mimo tego zastrzeżenia łatwo sobie wyobrazić, że taki specjalny nacisk położony na repatriację wysiedleńców może w dużym stopniu ułatwić działalność czynników urzędniczych, które np. spowodowały głośny już komunikat w obozie U.N.R.R.A. w Follingbostel. Została otwarta niewielka i mało widoczna furtka, przez którą jednak podmuchy różnych wiatrów i wiaterków, przesiąkniętych aromatami Wschodu w niczym nie przypominającymi róż Szyrasu, mogą po prostu obrzydzić życie tej najliczniejszej i bezbronnej grupie klientów przyszłej organizacji.

Druga formuła, wysunięta przez delegację brytyjską (*sic* !) w nadziei uzyskania jednomyślnej aprobaty raportu, wyłącza całkowicie spod opieki organizacji międzynarodowej "te osoby, które od chwili ukończenia działań wojennych w Drugiej Wojnie Światowej . . . stały się przywódc mi ruchów wrogich rządom swych krajów pochodzenia lub obarczyły się odpowiedzialnością (*become . . . sponsors*) za ruchy, zachęcające uchodźców do niepowracania do ich krajów pochodzenia". Oczywiście pozostawienie poza obrębem opieki przyszłego organu międzynarodowego nie oznacza pozbawienia uchodźcy prawa azylu, które pozostaje całkowicie w kompetencji tego państwa, gdzie uchodźca przebywa. Jest również rzeczą jasną, że prawdziwi przywódcy emigracji politycznych stanowią bardzo nieliczną grupę, która prawdopodobnie sama by nie zgłosiła pretensji do opieki międzynarodowej. Chodzi tu o owych "*sponsors*" — termin niejasny i niezmiernie trudny do przetłumaczenia na język polski; słownik oksfordzki określa pojęcie jako "osobę, która się czyni odpowiedzialną za inną". Można być spokojnym, że w krajach o tak wyraźnym obliczu demokratycznym i humanitarnym, jak Wielka Brytania, czy U.S.A., uznanie uchodźcy czy wysiedleńca przez tych czy innych urzędników przyszłej organizacji za "sponsorów", przywódców lub innych wrogów ludzkości totalistycznej nie wpłynie na prawo azylu i zachowania przez potępieńca zwykłych ludzkich praw. Lecz co będzie w Niemczech? We Włoszech? A może nawet w innych krajach? Przecie nikt inny jak delegat francuski, wysuwał formułę, którą uważał za również kompromisową, lecz wedle której prawie każdy, okazujący jakąkolwiek "inicjatywę" polityczną w kierunku niemiłym dla obecnych władców "krajów pochodzenia", wypadał poza zasięg opieki międzynarodowej. Delegacja brytyjska, która, należy to obiektywnie stwierdzieć, czyniła największe ze wszystkich wysiłki w kierunku obrony czystej linii humanitarnej, najwidoczniej sama zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa przyjętej formuły, gdyż zastrzegła sobie prawo — wobec nieosiągnięcia tak upragnionej jednomyślności — przedłożenia w dalszym etapie prac całkowicie nowego projektu formuły, który będzie z pewnością bardziej zadawalający z punktu widzenia ogólnych zasad tolerancji.

Ważniejsze wnioski grupy sowieckiej, odrzucone przez większość lecz figurujące — jak wspomniano — w załączniku do raportu, dążą do wyłączenia spod opieki wszystkich zaangażowanych we wrogich czynnościach (*hostile activities*) przeciwko rządom swych państw pochodzenia, należącym do Zjednoczonych Narodów, oraz wszystkich tych, którzy należeli do sił zbrojnych lub służby cywilnej jakiegokolwiek państwa oprócz państwa swojego pochodzenia. Delegacja, reprezentująca na Komitecie Polskę (nie można jej nazwać warszawską, gdyż składała się z samych "londyńczyków"), głosowała rzecz prosta za stanowiskiem sowieckim. Przewodniczący tej delegacji wspomniał na jednym z pierwszych posiedzeń Komitetu — co prawda z innego całkiem powodu — iż nie chce pogłębiać pewnych rzeczy, gdyż skoro jest Polakiem byłoby to zbyt bolesne. Trudno tu jednak nie przypomnieć sobie, co pewien emigrant polski spoza "linii Curzona" powiedział przeszło sto lat temu w ślad za Anglikiem Byronem o ówczesnych Grekach: "niewolni . . . gorzej: sługy niewolników".

Z innych prac Komitetu nie można ominąć n wet w najkrótszym sprawozdaniu walki, która się toczyła na Komisji Finansowo-Organizacyjnej w sprawie charakteru zasadniczego przyszłej organizacji. Chodziło o to, czy ma ona być po prostu częścią ogólnej O.N.Z., podległą Radzie Społecznej oraz Walnemu Zgromadzeniu O.N.Z. (teza brytyjska), czy też "agencją specjalizowaną" (*specialized agency*) z własną Radą Główną i Komitetem Wykonawczym, luźnie związaną z O.N.Z. na podstawie osobnej umowy, która będzie zawarta między władzami obydwóch organizacji (teza sowiecka, usilnie wysuwana rownież przez U.S.A.) Przeszła ta druga teza, która przedstawia pewne walory techniczne (czym się prawdopodobnie tłumaczy mocne poparcie jej przez U.S.A.), lecz zarazem oznacza w praktyce całkowite oderwanie spraw uchodźców od ogólnej polityki O.N.Z. i przyznanie w nowej organizacji krajom pochodzenia uchodźców znacznie większego wpływu, niżby to wynikało z pozycji tej grupy w ogólnej Organizacji Zjednoczonych Narodów. Nawet jeżeli wszyscy — albo prawie wszyscy — członkowie O.N.Z. wejdą do nowej organizacji, traktowanie spraw uchodźców jako czegoś całkiem odrębnego, niezwiązanego z ogólną polityką i ideologią O.N.Z., może się przyczynić do wypaczenia obiektywnego i humanitarnego charakteru organizacji. Sprawa ta będzie z pewnością przedmiotem dyskusji w łonie Rady Społeczno-Gospodarczej i Walnego Zgromadzenia O.N.Z.

Wiele będzie zależało w praktyce od składu przyszłego Komitetu Wykonawczego organizacji, który posiadać ma 9 członków „wybranych przez Radę Główną. Według projektowanego statutu, ten Komitet posiada niezmiernie rozległe kompetencje i będzie stanowił właściwy ośrodek dyspozycyjny organizacji. Walka o ukonstytuowanie tego Komitetu będzie niewątpliwie też odgrywała dużą rolę w dalszych etapach prac nad zmontowaniem nowej organizacji. Od składu Komitetu Wykonawczego będzie zależała nominacja dyrektora generalnego oraz, *via facti*, skład odpowiedzialnych urzędników, więc i wykonanie w praktyce wszystkich jasnych i mniej jasnych formuł statutu oraz dyrektyw ogólnych. A w ród tych dyrektyw już obecnie znajdują się takie, jak uznanie, że zadanie repatriacji j st znacznie ułatwione, gdy oficerowie łącznikowi należycie akredytowani przez rządy krajów pochodzenia mają dostęp do uchodźców i wysiedleńców (delegacja jugosłowiańska kładzie przy tym nacisk — niewątpliwie celowo ze swojego punktu widzenia — na dopuszczenie rozmów "w cztery oczy"). Inna znów rezolucja, pochodząca od delegacji francuskiej, kładzie nacisk na konieczność przymusu pracy w skupiskach wysiedleńców i uchodźców. Zdawałoby się, że nie ma w tym biedy; przypominamy sobie, że Zjednoczenie Polaków w Niemczech — największa organizacja .samych wysiedleńców — wypowiedziała się za jak najszerszym zatrudnieniem tych ludzi. Bieda jednak polega na tym, że cytowana dyrektywa wspomina, iż obecny stan "względnego nieróbstwa może być zachętą do niezgłaszania się celem repatriacji" wobec czego "nie jest nieprawdopodobnym, że gdy oni (wysiedleńcy) zostaną powołani do pracy, niektórzy z nich będą przez to skłonieni (*led*) do zgłoszenia się do repatriacji". Tego rodzaju "*inducement*" dla urzędników, podchwycony przez gorliwców, może doprowadzić do stopniowego zatarcia wciąż jeszcze istniejących różnic między obozami wysiedleńców, a obozami innego całkiem charakteru w szeregu krajów. Zwłaszcza jeżeli gorąco zalecane gdzieindziej "układy bilateralne" między krajami pochodzenia a władzami krajów pobytu będą przewidywały "ulokowanie w specjalnych obozach tych, którzy nie życzą sobie powrotu do swego kraju", jak o tym stanowi, według informacji złożonej Komitetowi przez delegację francuską, układ francusko-polski z dnia 13 marca 1946 r.

Na zakończenie należy wspomnieć, że niewinna na pozór rezolucja, zalecająca przeprowadzenie w trybie nagłości dokładnego spisu (*census*) osób, korzystających z pomocy i ochrony — miała być uzupełniona, na wniosek delegacji jugosłowiańskiej, zaleceniem zachowania przy wykonaniu spisu ścisłego współdziałania z władzami "krajów pochodzenia" oraz bieżącego komunikowania (*communicate continuously*) rządom tych krajów wszystkich danych, aby umożliwić "sprawdzenie danych, dostarczonych przez osoby podlegające spisowi". W państwie totalistycznym człowiek się składa z duszy, ciała i "fiszki"; wniosek jugosłowiański został wprawdzie odrzucony, lecz nie ma wątpliwości, że i na tym odcinku, jak na tak wielu innych, walka między dwoma światopoglądami będzie trwała dopóty, dopóki istnieje samo zagadnienie uchodźców i wysiedleńców. Będą się jej przyglądały miliony oczu tych, którzy mają być przedmiotem przyszłej opieki, oraz tych, którzy już tej opieki nie potrzebują, gdyż oddali wszystko w walce o wolność. Ł.B.

KULTURA I ŻYCIE

Nagroda Nobla — Stulecie Sienkiewicza — Recital Poetów — The Tate Gallery—Teatr Eksperymentalny—Książki polskie

NAGRODA Nobla jest niewątpliwie najwyższym odznaczeniem międzynarodowym, które od czterdziestu pięciu lat utrzymuje swą renomę w świecie kulturalnym dzięki sprawiedliwemu stosunkowo wyborowi laureatów i umiejętnemu rozdzielaniu nagród między poszczególne kraje. Nagroda daje duże możliwości małym narodom, których języki literackie obejmują nikłą liczbę czytelników; przez wyróżnienie tego rodzaju — wartościowa książka dostaje się na rynek światowy. Nagroda Nobla przyczynia się także do rozwoju przekładów. Sumienność i artyzm tłumacza decydują o właściwej ocenie dzieła literackiego poza granicami i zasięgiem języka oryginału.

Naród chilijski został wyróżniony nagrodą Nobla za literaturę w. r. 1945. Pierwsza nagroda po wojnie przypadła więc nie potęgom politycznym, ale małemu krajowi, który zajmuje wąski a długi skrawek zachodniego wybrzeża Południowej Ameryki. Laureatką jest poetka *Gabriela Mistral*, urodzona w r. 1889, która z nieznanej nikomu nauczycielki szkółki ludowej stała się czołową pisarką Chile, wprowadzając do literatury ojczystej elementy ogólnoludzkie (cywilizacja hiszpańska zawsze umiała godzić regionalizm z uniwersalizmem). Poetka miłości macierzyńskiej, dojrzałego liryzmu pełnej kobiecości, Mistral łączy wrażliwość uczuć osobistych z poza-dydaktycznym zrozumieniem powszechnych spraw natury ludzkiej. Pisze i działa, nie mącąc wszakże nurtu poetyckiego doraźnymi potrzebami chwili. Umie właściwie propagować prawa kobiety, walczyć z analfabetyzmem i pokazywać rodakom wartości zachodnio-europejskiej cywilizacji. Z nauczycielki przedzierzga się w dyplomatkę (notabene, większość reprezentantów państw południowo — amerykańskich to literaci!) Wojna zastaje Gabrielę Mistral w Brazylii, gdzie pełni funkcję konsula generalnego Chile.

W "*Kronice*", wydawanej przy Drugim Korpusie we Włoszech, znajdujemy ciekawą rozmowę z laureatką Nobla, skąd dowiadujemy się o genezie jej pseudonimu (prawdziwe nazwisko G. Mistral brzmi Lucila Godoy Alcayaga). Zacytujmy słowa samej poetki wedle tekstu "Kroniki":

"We Francji, skąd właśnie przyjeżdżam, pytano mnie zewsząd, co mnie łączy z poetą prowansalskim, Fryderykiem Mistralem, także laureatem Nobla. Mam wielkie uwielbienie dla Mistrala. Ale z innych powodów wybrałam sobie to nazwisko jako pseudonim. Gdy zaczynałam pisać poezje, byłam nauczycielką w małej wiosce chilijskiej. Nie bardzo uchodziło tak skromnej osobie podpisywać swym nazwiskiem wiersze. . . . Zresztą takiego właśnie zdania byli moi przełożeni. A kocham wiatr: ten potężny głos natury. Gdy błądziłam po bezdrożach Andów, wiatr górski mnie upajał. Schodziłam z gór odurzona. Czy może być piękniejsza nazwa wiatru jak — mistral? Czyż może być właściwsze nazwanie dla poezji, wykołysanej przez wiatry górskie?"

Z książek laureatki należy wymienić: "*Rondas de ninos*", "*Ternura*"; "*Desolación*"; "*Lectura para Mujeres*". Za "Kroniką" podajemy informację, że Mistral napisała poemat o Polsce ("Polonia"), dotąd jeszcze nie ogłoszony w wydaniu książkowym.

* * *

Czterdzieści lat przed poetką chilijską nagrodę Nobla otrzymał Polak, *Henryk Sienkiewicz*, którego "Quo Vadis", przetłumaczone na przeszło trzydzieści języków europejskich i pozaeuropejskich, trafiło do milionów czytelników (dwa miliony egzemplarzy we Francji, tyle samo w krajach anglosaskich). "Quo Vadis" jest do dziś dnia najpopularniejszą książką polską za granicą.

Tak się jakoś złożyło, że o stuleciu urodzin Sienkiewicza (5 maja 1846 r. w Woli Okrzejskiej, na Podlasiu) zapomniano zupełnie w prasie polskiej. Rzecz tym dziwniejsza, że w roku bieżącym przypada także pięćdziesiąta rocznica "Quo Vadis".

Niewątpliwie — w perspektywie lat — można teraz lepiej ocenić rolę autora Trylogii nie tylko jako nauczyciela polskości w epoce gospodarczego realizmu i politycznego kompromisu, ale także jako wybitnego nowatora w dziedzinie powieści historycznej, która dogorywała na Zachodzie w pseudo-romantycznych imitacjach. Sienkiewicz znał dobrze swoje rzemiosło. Po okresie przesadnych zachwytów i zarzutów, widać dziś ten kunszt jasno, szczególnie jeśli się porównuje utwory Sienkiewicza z utworami współczesnych mu Polaków, Niemców czy Anglików.

Polakom, przebywającym w Anglii, warto przypomnieć "*Listy z Podróży*" Sienkiewicza (z lat 1875-78), w których trzydziestoletni korespondent gazet warszawskich zachwycał się urodą Angielek, szybkością kolei angielskich, Hyde Parkiem, mając jednocześnie otwarte oczy na nędzę i wyzysk, na paradoksy układu społecznego Wielkiej Brytanii. Oto typowe zdanie z opisu stolicy angielskiej:

"Wszędzie mnóstwo posągów Nelsona i Wellingtona; lwy pilnujące posągów — i na rogach policmeni spokojni i nieruchomi także, jak kamienne posągi."

Ktokolwiek ma trudności z językiem angielskim, niech się pocieszy, że 70 lat temu Sienkiewicz z trudnością wydukiwał kilka źle wyuczonych wyrazów ze słownika (błędy wymowy widać w rażących transkrypcjach autora Listów; podczas pobytu w Ameryce angielski Sienkiewicza znacznie się poprawił). W Hotelu Charing Cross przyszły twórca Trylogii nie mógł ani rusz dogadać się z lokajem. Niegrzeczność wobec cudzoziemców uderzyła go wówczas w Londynie, ale zaliczmy to raczej na karb językowych nieporozumień. Polska literatura powinna być szczególnie wdzięczna amerykańskiemu tłumaczowi Sienkiewicza, *Jeremiah'owi Curtinowi* (umarł w 1906) który zjednał przyszłemu laureatowi Nobla ogromne rzesze czytelników.

* * *

14 maja b. r odbył się w Londynie wielki *Recital* poetów angielskich, któremu przewodniczył nadworny poeta królewski (Poet Laureate), John Masefield, pełniący ten urząd od śmierci R. Bridges'a w 1930 r. Na recitalu była obecna królowa oraz znane osobistości z angielskiego świata artystycznego. W pierwszej części programu sławni aktorzy, jak Gielgud, Flora Robson, Edith Evans — recytowali klasyczne utwory poetyckie (od Spensera poprzez Shakespeare'a i Marvell'a do Coleridge'a, Tennyson'a i Owen'a); w drugiej — poeci żyjący wystąpili z własnymi wierszami (Walter de la Mare, T. S. Eliot, Edith Sitwell, C. Day Lewis, Dylan Thomas).

Jeszcze raz można było stwierdzić, że poeci — jeśli w ogóle potrafią czytać — lepiej recytują poezję od zawodowych aktorów. Modny dziś w Londynie młody poeta Dylan Thomas przeczytał "Tygrysa" Blake'a istotnie po mistrzowsku, dając temu "przerecytowanemu" utworowi świeżą i przekonywającą interpretację.

Cały recital był poniekąd przeglądem sił intelektualnych poezji angielskiej. Obok bluszczowej liryki *Sitwell* uderzał kontrastem witalizm *Dylana Thomas'a*, obok zmęczenia i rezygnacji *T. S. Eliot'a* — dyskretny patos *C. Day Lewis'a*. Dla polskiego obserwatora ten przegląd poezji miał tym większe znaczenie, że przypominał o ślepych uliczkach rodzimej twórczości, która wciąż boi się wymienić prowincjonalne gusta na (przyjęte dziś wszędzie na Zachodzie — zdobycze formalne poezji nowoczesnej. Ta uwaga tyczy się zarówno poezji emigracyjnej, jak i krajowej.

* * *

Kto stawia zarzut sztuce współczesnej, że znajduje się poza tragizmem naszych czasów, że nie umie podjąć odpowiedzialności za przeżycia apokaliptycznie strwożonej ludzkości, niech zobaczy obrazy *G. Rouault* (ur. w 1871 r.) w *The Tate Gallery* na Millbank w Londynie. Ten syn francuskiego robotnika widzi w ładzgocie barw wykrzywioną twarz ludzkości, na pół groteskową, na pół świętą w boleści, odkupiającej grzech. Chrystus na obrazach Rouault cierpi po człowieczemu, bo właśnie cierpienie łączy go najsilniej z nami, z bezradnością naszej rozpaczy i z uporem naszej wiary. W cyklu "*Misere*" nie ma bezpośredniej odpowiedzi na natarczywe pytania oczu, ale jest pociecha oniemiałego czasu, który zbliża nas współczesnych do odwiecznych symbolów ludzkiego dramatu. Bogactwo motywów i rozwiązań formalnych uczy u Rouault jak rozumieć nowoczesne malarstwo i nasuwa subtelne analogie z prymitywami Średniowiecza, ze sztuką Gotyku, z groteską Baroku. Rouault jest poetycki, to znaczy: liryzm jego interpretacji świata unika taniej dydaktyki "opowiadających" malarzy XIX wieku, czy przeintelektualizowanej symboliki pierwszych lat naszego stulecia.

Ta sama poetyckość spojrzenia na świat linij i barw uderza w niesamowitych obrazach Szwajcara, *Paula Klee*, którego wystawę zorganizowało The Tate Gallery przed kilku miesiącami w Londynie.

W galerii na Millbank można także oglądać "klasyki" modernizmu: Van Gogh'a ("Krzesło", "Słoneczniki"), Seurat ("La Baignade"); Pissara ("Boulevard des Italiens") Manet'a, Cézanne'a i in.

* * *

Wielu Polaków narzeka na teatr angielski. Wydaje nam się, że niesłusznie. Przed-

stawienia szekspirowskie w teatrze *The Old Vic Company*, czy na otwartym powietrzu w Regents Parku, co tu dużo gadać, lepiej oddają ducha sceny elżbietańskiej, niż nasze przeintelektualizowane, przeinterpretowane, za wystawne, pół-germańskie, a pół-sowieckie Noce letnie i Hamlety, Burze i Zachody miłości.

Gdy chodzi o przedstawienia sztuk współczesnych, często mało znane teatry-kluby, czy sceny eksperymentalne na przedmieściach, zdobywają się w stolicy Imperium na lepsze imprezy artystyczne, niż komercjalne teatry przy Piccadilly Circus czy Leicester Square. "*Arts Theatre Club*" wystawia na ogół dobre sztuki; szczególnym powodzeniem cieszy się on wsród znawców podczas t. zw. festiwalu dramatu angielskiego (ostatnim sukcesem festivalu było wystawienie "Hamleta").

Ale największą niespodziankę sprawił krytykom i publiczności maleńki teatrzyk przy Notting Hill, "*Mercury*", inicjując sezon nowych sztuk, napisanych przez poetów. Ta próba odrodzenia dramatu poetyckiego (z umiejętną domieszką prozy w dialogu) przeszła najśmielsze oczekiwania kierowników teatru, kiedy sztuka młodego farmera z Kornwalii, *Ronalda Duncan'a* pt "*This Way to the Tomb*" osiągnęła sto przedstawień i stale jeszcze ściąga publiczność do Notting Hill. "This Way to the Tomb" (A Masque with Anti-Masque), nawiązując do tradycji Ben Jonsona, rozsadza starą formę dramatyczną dynamizmem tematu. Jest nim kuszenie św. Antoniego, na które w anty-masce rzuca autor groteskową wizję dwudziestego wieku, z całą jego wulgarnością, apatią, wątpieniem w imię wątpienia, z całym przewrotnym mechanizmem spłycającej cywilizacji. Pamiętajmy, ten protest religijny przeciw materializmowi naszych czasów wyszedł spod pióra młodego poety, i został wyrażony w języku angielskim! Rola św. Antoniego w wykonaniu Roberta Speaight'a to wzór umiaru, dyskrecji; to przykład istotnego zrozumienia tekstu, tak rzadkiego u aktorów.

Na "This Way to the Tomb" zwrócił już uwagę Paryż i Nowy York; nie tylko więc Thornton Wilder ("*The Skin of Our Teeth*") będzie bił w bębny na alarm ze scen zachodniego świata. Inną sztukę w "Merkurym" (*Ch. Fry'a* "*A Phoenix Too Frequent*") polecamy zwolennikom wykwintnego dowcipu.

Kto chce zobaczyć dobre przedstawienia sztuk Shaw'a ("Święta Joanna") niech pójdzie do *King's Theatre*, Hammersmith. Na Hammersmith także godny jest uwagi "Lyric" (ze świetną komedią "*The Thracian Horses*").

* * *

Wśród polskich wydarzeń kulturalnych kronikarz powinien wspomnieć o kilku nowych publikacjach, przede wszystkim o nowym tomie wierszy *Mariana Czuchnowskiego* "Pożegnanie jeńca" (który wymaga obszerniejszego omówienia) i o zbiorze pośmiertnym młodziutkiej *Teresy Bogusławskiej* (córki poety, przebywającego na emigracji) pt "Mogiłom i cieniom".

Jan Bielatowicz wydał w Rzymie przed kilku miesiącami antologię poetów-żołnierzy pt. "Nasze granice w Monte Cassino", którą zaopatrzył obszernym wstępem. Zbiór zawiera wiersze różnej wartości poetyckiej; jako dokument czasu niewątpliwie bardzo cenny. W Paryżu ukazały się podobno antologie prozy i poezji polskiej z lat wojny, wybrane przez Lama, ale niestety nie sposób ich znaleźć w Londynie. *J. P.*

20 maja 1946.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Stanisław Mackiewicz: LATA NADZIEI (17 września 1939—5 lipca 1945). *Londyn* 1946, *nakładem autota.* Stron. 216. Cena 10s. 6d.

Ostatnia książka Mackiewicza wywołała niezmiernie ożywioną dyskusję wśród jej polskich czytelników. Komentarze, jakie słyszeliśmy, były w dużej części niechętne, co wynikło głównie z faktu wprowadzenia do książki tak obfitego materiału personalnego. Krytyczne były zwłaszcza komentarze dawnych przyjaciół politycznych Mackiewicza, tutaj jednak źródło było nie tylko osobistej natury: w książce swej bowiem nie oszczędził on także przedwojennej polityki polskiej, powtarzając po części zarzuty, które już poprzednio wyłożył w książce o Becku.

Zadaniem książki — według słów autora — miało być "przedstawienie sprawy polskiej podczas wojny", a także odtworzenie "historii naszego rządu na emigracji". W rzeczywistości autor poszedł nieco dalej, starając się dać również pogląd na politykę międzynarodową z polskiego punktu widzenia. Tutaj Mackiewicz zawiódł, zapewne z braku dość gruntownej znajomości wypadków politycznych, co nie zawsze mógł zastąpić swoją oryginalną i często niezawodną wyobraźnią. Przed 3 laty wyszła w Szwajcarii książka b. ministra spraw zagranicznych Rumunii, Gafencu, o "preliminariach wojny na wschodzie", która była przedstawieniem rozwoju sytuacji międzynarodowej we wschodniej Europie z rumuńskiego punktu widzenia, Książka Gafencu wyolbrzymiła rolę Rumunii w dyplomatycznym pojedynku niemieckosowieckim w latach 1939-1941, ale zawierałą cały szereg pierwszorzędnych informacji, które napewno wzbogacają wiedzę o historii obecnej wojny. Mackiewicz nie był jak Gafencu dyplomatą obeznanym z szczegółami zawiłej gry dyplomatycznej mocarstw ani nie jest skrupulatnym historykiem dbałym o przedstawienie "całej prawdy".

Stąd opinie Mackiewicza na temat rozmaitych wydarzeń międzynarodowych są często nieściśle lub nawet grzeszą zbytnią oryginalnością. Nie można n.p. przypisywać Anglii odpowiedzialności za konflikt z Włochami ("antywłoska polityka Anglii"), przynajmniej za okres od r. 1937, t.j. od ustąpienia Edena z Foreign Office. Chamberlain i Halifax uczynili w tym czasie wszystko, aby odzyskać przyjaźń Włoch (wizyta w Rzymie w r. 1938), a w tym samym kierunku poszły równie zabiegi Churchilla natychmiast skoro został premierem (osobisty apel do Mussoliniego w samym przededniu agresji włoskiej). To polityka Mussoliniego była "antybrytyjska", płynęła zaś ona nie tylko z urazy za politykę sankcji w czasie wojny abisyńskiej, ale również z wiary (niezrozumiałej u inteligentnego bądź co bądź człowieka) w dekadentyzm Anglii, która miałaby podzielić los Austro-Węgier.

Podobnie mało uzasadnienia ma sugerowanie jednemu z mocarstw sprzymierzonych z Polską świadomego wciągania jej do wojny z Niemcami: wiadomo przecież, że do ostatniej chwili ze strony miarodajnych czynników tego mocarstwa czynione były próby porozumienia z Hitlerem. Świadoma gra tego mocarstwa wobec Polski polegała na tym, że tak, jak do r. 1938 wyraźnie sprzyjało ono polskiej polityce porozumienia z Niemcami — odmiennie niż Francja — tak, od czasu Monachium, a w każdym razie od czasu zajęcia przez Hitlera Pragi, uczyniło ono wszystko, aby Polskę do Niemiec zniechęcić i od nich odciągnąć.

Niezależnie od tych nieścisłości historycznych i faktycznych, książka Mackiewicza jest jedną z najbardziej interesujących publikacji polskich wydanych na emigracji. Jest żywa i barwna — i daje niemal kompletny obraz nadziei, rozterek i błędów polityki wojennej Polski, obraz subiektywny i przeważnie jednostronny, ale trafny w ogólnych zarysach. Najsłabszą stroną tej oceny polityki polskiej jest jej pewna negatywność, przy braku wyraźnych wskazań ze strony samego autora, gubiącego sie pod tym względem w dwuznacznościach od samego początku (n.p. nie wiemy, czy zdaniem Mackiewicza Polska powinna sie była poddać Niemcom bez walki, czy tylko starać się o odwleczenie lub odwrócenie konfliktu). Z uwagami o zaletach polityki kapitulacji — w pierwszym rozdziale— nie będziemy polemizowali, gdyż w późniejszych rozdziałach sam autor ją potępia, co prawda na tle sprawy stosunków z innym sąsiadem Polski.

W stosunku do naszego pisma autor nie jest sprawiedliwy chociażby z tego względu, że zapoznaje rolę, jaką spelniło ono na emigracji. Czy było ono "nudne", jest rzeczą względną. Publicystyka polityczna nie może się składać z samych felietonów obliczonych na dogodzenie wszystkim czytelnikom. Natomiast faktem jest, że jedyne z pism polskich posiadało wyraźną linię ideową i nie ograniczało się tylko do krytyki oficjalnej polityki polskiej; chociaż było w opozycji do niej, formułowało tezy programowe i wszechstronnie analizowało problemy przed nią stojące. Ale Mackiewicz, który jest świetnym pisarzem i publicystą, posiada czasami antytalent oceniania zjawisk oraz osób we właściwych proporcjach.

P.

Salvador de Madariaga: VICTORS BEWARE. *London*, 1946, *Jonathan Cape*. Stron 304. Cena 10 s. 6 d.

Autor jest znanym liberałem hiszpańskim; od r. 1937 przebywa w Anglii jako uchodźca polityczny ze swej ojczyzny. Ongiś z ramienia rządu hiszpańskiego spełniał różne funkcje w Radzie Ligi Narodów; czynny był także w sekretariacie Ligi. Od chwili opuszczenia Hiszpanii poświęca się głównie pracy pisarskiej. Znaczny rozgłos przyniosła mu wydana parę lat temu książka pt. *Spain*, obrazująca prądy i przekształcenia polityczne w Hiszpanii w ostatnim okresie.

Madariaga należy do tych, nielicznych dzisiaj, polityków, którzy pragnęliby wierzyć w możność oparcia współżycia międzynarodowego o zasady wolności i wzajemnej lojalności partnerów. Jego nowa książka pomyślana jest jako ostrzeżenie pod adresem zwycięzców z Drugiej Wojny Światowej, by zeszli z dotychczasowej drogi, która doprowadzić musi albo do nowego starcia zbrojnego, albo też do podziału świata między wielkie mocarstwa, podziału, który zniszczy wolność średnich i mniejszych narodów.

Madariaga krytykuje surowo Organizację Zjednoczonych Narodów właśnie z powodu poddania jej dyktaturze wielkich mocarstw i przewagi pierwiastka "autorytatywnego" w ustroju O.N.Z. Jeszcze większymi obawami napawa go polityka Rosji — zarówno wobec słabszych sąsiadów, jak wobec prób Zachodu wprowadzenia zasad demokratycznych do stosunków międzynarodowych. Książka oddana została do druku w maju 1945 r. — w trakcie obrad konferencji w San Francisco, które wywołały u autoar

refleksje bardzo pesymistyczne. Widzi on cztery możliwości dalszego rozwoju sytuacji: zerwanie stosunków między Zachodem a Rosją, a w konsekwencji Trzecią Wojnę Światową; przeciągający się stan napięcia (*tension*); "porozumienie złowrogie" (*sinister agreement*); wreszcie "porozumienie oświecone" (*enlightened agreement*).

Wojna, jego zdaniem, byłaby dla świata ewentualnością najgorszą. Trzecia w naszym pokoleniu wojna europejska miałaby co najmniej dwa katastrofalne rezultaty: jeszcze więcej zniszczenia w Europie, już prawie zamordowanej, oraz przedwczesne odrodzenie się Niemiec, tj. powstanie nowej niemieckiej siły zbrojnej "zanim czas i ludzie będą zdolni zmienić ducha Niemiec". Niemniej — stwierdza Madariaga — nie wolno nam wyłączyć możliwości wojny, nie dlatego, by świadomie planowana ona była czy to przez Rosję, czy przez Zachód, lecz dlatego, że możliwość wojny wynika z systemu sił, z którymi mamy do czynienia. "Gdy trzy samochody pędzące z maksymalną szybkością zderzają się i jadący w nich ludzie odnoszą rany lub tracą życie, to dzieje się to nie dlatego, że którykolwiek z trzech szoferów miał najlżejszą intencję skończenia wycieczki w szpitalu lub na cmentarzu".

Druga możliwość — to przeciągający się stan napięcia. "Rosja i Zachód są dwoma odmiennymi światami, które naprożno usiłują zagadać swe przeciwieństwa. Istnieją jeszcze na Zachodzie ludzie naiwni, którzy irytują się na to, co określają jako "podejrzliwość" wobec intencji rosyjskich. Choć widzieli tyle narodów europejskich pozbawionych swej wolności wewnętrznej i zewnętrznej i swych zasobów materialnych tylko z powodu zbrodni znalezienia się w rosyjskiej strefie wpływów, choć otoczeni są najbardziej jaskrawymi faktami, ciągle uskarżają się na "podejrzliwość".

Stan napięcia może trwać bardzo długo, po pewnym czasie jednak dojść może do jakiegoś porozumienia. Może to być "porozumienie złowrogie", które doprowadzi do bezwzględnej eksploatacji słabszych narodów i składających się na nie jednostek. Rosja czyni to już w najbezwzględniejszej formie w swej strefie. Stopa życiowa w Europie Środkowej musi spaść do poziomu, istniejącego w Z.S.S.R. Jednak i imperializm anglosaski, głównie amerykański, może zredukować resztę narodów, znajdujących się w jego obrębie, do poziomu kolonii gospodarczych. Jako przykład przytacza Madariaga ruinę gospodarczą, do jakiej panowanie amerykańskie doprowadziło Kubę i Puertorico, ongiś bogate posiadłości hiszpańskie. Autor krytykuje też gospodarkę brytyjską w niektórych koloniach.

"Widzieliśmy — pisze dalej Madariaga — jak rządy Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii przyjęły bez sprzeciwu fakt, że sowiecki trybunał skazał na więzienie ludzi, których te rządy zaproponowały oficjalnie na kandydatów do polskiego gabinetu jedności narodowej — oraz jak te rządy uznały porozumienie jałtańskie za wypełnione, kiedy Komitet Lubelski zrobił przy *swym* stole miejsce dla dwóch przywódców polskich z Londynu i dla dwóch z Polski. Ta osobliwa pobłażliwość ze strony dwóch potężnych narodów w sprawie, w której chodziło nie tylko o ich prestiż, ale i o najbardziej elementarną sprawiedliwość wobec ich sprzymierzeńca Polski, roztoczona została przed zdumionym światem bezpośrednio po dyskretnej wizycie, jaką przedstawiciel prezydenta Trumana złożył generalissimusowi Stalinowi. Co było treścią tego porozumienia? Czyżby dokonany został złowrogi podział świata między trzech zwycięzców?"

Jedynym wyjściem jest "porozumienie oświecone" między wielkimi mocarstwami. Nadzieję, że Anglosasi w końcu podejmą walkę o takie właśnie porozumienie, autor widzi w "poczuciu moralnym" (*moral sense*) obu mocarstw anglosaskich — poczuciu, które jest głębokie i szczere. Porozumienie takie, którego owocem byłaby prawdziwa "wspólnota światowa" (*world commonwealth*) nie będzie jednak możliwe, póki "Rosja nie stanie się dostępna dla zachodnich idei i informacji".

Taka jest konkluzja autora — ze sposobu jednak, w jaki charakteryzuje elementy obecnej sytuacji międzynarodowej, widać, że sam nie widzi możliwości bliskiego powstania "wspólnoty światowej".

Jeden z poprzedzających konkluzje rozdziałów poświęcony jest stosunkowi Rosji do jej sąsiadów — i tu spotykamy wiele uwag i sądów świadczących, jak głęboko przejął się Madariaga tragedią Polski. Charakteryzuje on kolejnó wcale szczegółowo: tajne porozumienie sowiecko-niemieckie z r. 1939 w sprawie nowego rozbioru Polski, inwazję niemiecką, po której nastąpiła sowiecka, umowę podziałową z końca września 1939 r., "plebiscyt" na ziemiach wschodnich, powstanie rządu polskiego na Zachodzie, układ polsko-sowiecki z dnia 30 lipca 1941 r. i późniejszy rozwój stosunków łącznie ze sprawą Katynia, dalej powstanie warszawskie i stanowisko sowieckie wobec tego powstania — wreszcie, najobszerniej, narzucenie Polsce rządów Komitetu Lubelskiego oraz uwięzienie i proces przywódców polskiego ruchu podziemnego.

O obecnym reżimie warszawskim wyraża się następująco:

"Rząd tak utworzony kontrolowany jest przez komunistów do tego stopnia, że prasa londyńska najwidoczniej wolała nie podawać danych na temat stronnictw, do których ministrowie należą . . . W rzeczywistości na 21 członków gabinetu 14 było członkami Komitetu Lubelskiego, a z 7 pozostałych tylko 4 należało do prawdziwych przed-rosyjskich stronnictw: 2 z Polski, a 2 z Londynu. Rząd londyński oskarżony został o reakcyjność, choć p. Arciszewski jest socjalistą z klasy robotniczej, a w jego gabinecie lewica tworzyła większość. Transponując to na sytuację w Wielkiej Brytanii lub Ameryce rzecz wygląda tak, jakby jakieś obce mocarstwo, okupujące W. Brytanię lub Stany Zjednoczone, ustanowilo rząd pod kierownictwem p. Gallachera lub p. Browdera, złożony z grupy nieznanych komunistów i sympatyków Z.S.S.R., potem zaś, po długich negocjacjach, zgodziło się na przyjęcie do tego rządu p. Bevana i p. Shinwella lub p. Lewisa i p. Uptona Sinclaira — następnie zaś oświadczyło, że wszyscy ludzie w rodzaju pp Attlee, Greenwooda, Morrisona, oraz pp. Philipa Murraya, Byrnesa i Wallace'a są wściekłymi faszystami (*rabid fascists*)".

Wszystkie prawie uwagi Madariagi nacechowane są głębokim zrozumieniem położenia Polski — zrozumieniem, tak rzadko spotykanym wśród pisarzy politycznych Zachodu. Z jednym tylko twierdzeniem autora niepodobna się zgodzić, gdy pisze mianowicie, że Traktat Ryski z r. 1921 był ze strony polskiej traktatem "jak najbardziej nierozsądnym" (*a most unwise treaty*) i dowodem "katastrofalnego braku zmysłu politycznego" Polaków w ogóle — gdyż dawał Polsce na wschodzie "więcej niż Rosja mogła jej na dobre użyczyć".

Zdaniem naszym Polska w Traktacie Ryskim zatrzymała tylko tę część swego historycznego dziedzictwa, która jej się według wszelkich kryteriów słuszności należała; sądzimy również, że w tej dziedzinie Traktat Ryski był wzorem sąsiedzkiego kompromisu. Tak też określano wówczas zawarty układ ze strony sowieckiej i aż do fatalnego dnia 17 września 1939 r. Moskwa nigdy i w żadnej formie granicy ustalonej w Rydze nie kwestionowała. Jeśli po tym zmieniła politykę w tym zakresie, to z innych przyczyn, znacznie ogólniejszej natury — przyczyn, o których p. Madariaga pisze w swej książce tak obszernie i wyczepująco. Sprawa samych ziem wschodnich odegrała tu — naszym zdaniem — rolę raczej podrzędną. Aneksja ich była tylko etapem w realizacji dalekosiężnych planów, jakie wytyczyli sobie przywódcy polityki sowieckiej. Mogli oczywiście pojść inną drogą w postępowaniu swym wobec Polski i innych narodów Europy Środkowej—drogą, która naszym zdaniem dałaby lepsze rezultaty dla wszystkich zainteresowanych i całego świata. Widocznie jednak zadecydowali inaczej.

R. B.

Saint Augustine: THE CITY OF GOD (DE CIVITATE DEI.) John Healey's translation. Edited by R. V. G. Tasker M.A., B.D. Introduction by Sir Ernest Barker. *London*, 1945. *J. M. Dent and Sons, Ltd.* W dwu tomach: Str. 371 i 444. Cena 6*s*.

"Już się miało pod koniec starożytnemu światu, Bogowie i ludzie szaleli" — kiedy w momencie załamywania się świetnej, starożytnej cywilizacji grecko-rzymskiej, w kartagińskiej Hipponie, pisał biskup jej, św. Augustyn, swoje pamiętne dzieło *O państwie Bożym* (*De civitate Dei*). Stary świat walił się dookoła pod naporem następujących barbarzyńców, Rzym nawet został zdobyty i złupiony przez Gotów, dowodzonych przez Alaryka (410 r.), i w tym momencie, kiedy stara cywilizacja wydawała się ginąć ostatecznie, św. Augustyn pisał swą naukę dla ludzi o wiecznej Prawdzie i wiecznym, Bożym Porządku rzeczy. I musiała być w tej nauce jakaś siła szczególniejsza, skoro przetrwała ona okres "ciemnych wieków" i skoro dziś, kiedy znów cywilizacja wydaje się zmierzać ku swej zagładzie, wydano w "Everyman's Library" ponownie przekład *Państwa Bożego*, jako wskazówkę, ostrzeżenie i pociechę.

Św. Augustyn surowo bardzo ocenia upadające imperium rzymskie. Z ironią przytacza hasła Wergiliuszowe, które miało ono rzekomo urzeczywistniać:

"Tu regere imperio populos Romane memento . . .
Parcere subiectis et debellare superbos. . . ."

Podobnie dziś z ironią takąż samą przytaczać by można szlachetne hasła innego imperializmu, o "obowiązku białego człowieka", jak o nim rozpisywał się Kipling.

A przyczyna upadku jest w obu wypadkach ta sama: imperium zatraciło poczucie sprawiedliwości (*justitia*), czymże zaś państwo jest, pozbawione sprawiedliwości, jeżeli nie *magnum latrocinium* (wielką szajką rozbójników)?

Ludzkość, zdaniem św. Augustyna, dąży do *tranquillitas in ordine* (spokoju w porządku). Tego "spokoju w porządku" zapewnić jej nie może jakiekolwiek imperium ludzkie, powstałe z pychy i wyrosłe na chciwości, ale jedynie tylko *civitas Dei*, t.j. Kościół, mistyczne Ciało Chrystusowe, obejmujący żywych i umarłych, lecz tylko tych, co nie zmazani grzechem śmiertelnym lub oczyszczeni pokutą, fakty-

cznie do niego należą. Członkowie tego "państwa Bożego" są pielgrzymami na ziemi, wpatrzonymi w jego obraz idealny, niczym w platońską ideę Rzeczypospolitej, bo Platonowi wiele bardzo z poglądów swych św. Augustyn zawdzięcza. I ów platonizm jego sprawia, że dzisiaj silniej niż ktokolwiek przemówić może do znękanej tyloma cierpieniami ludzkości.

W ubiegłym wieku, wśród ogólnego porządku, kiedy prawa Newtona panowały w fizyce, Ojciec Św. Leon XIII zwrócił uwagę katolików na nieprzebrane skarby mądrości filozoficznej, zawarte w pismach św. Tomasza z Akwinu. Bo św. Tomasz z Akwinu pisał też w uporządkowanym społeczeństwie XIII stulecia, gdzie wszystko wydawało się znajdować na swoim miejscu i pełnić rolę sobie odwiecznie przeznaczoną. Ale dziś, kiedy nowe zdobycze fizyki i astronomii każą nam patrzyć na rzeczywistość, niczym na cienie na ścianie platońskiej jaskini, i kiedy ten platoński obraz świata przedstawia nam Jeans jako najlepszy wizerunek otaczającej nas dookoła rzeczywistości, ów optymistyczny, arystotelesowski realizm św. Tomasza nie tak znów łatwo przemówi nam do wyobraźni. Nie łatwo będzie w dzisiejszych czasach przyjąć tezę optymistyczną św. Tomasza o tym, że "byt jest zawsze lepszy od niebytu" — i z tym większą ochotą zwracamy się do platonizmu św. Augustyna.

Trzeba bowiem to stwierdzić, iż pod względem stanowiska filozoficznego św. Augustyn i św. Tomasz stoją na dwu przeciwnych sobie biegunach....A fakt, że obaj mogą być równocześnie świętymi, głosicielami tej samej wiekuistej prawdy, wskazuje, jak szeroki jest zasięg myślowy katolicyzmu, jeśli tak różne całkiem i sprzeczne filozofie może on uznać i włączyć w służbę tej samej, wieczyście prawdziwej Nauki. I dlatego filozofia św. Augustyna, jako jeden z aspektów prawdy chrześcijaństwa i katolicyzmu, zawsze będzie przemawiać do nas, a w momentach kryzysu będziemy się zwracać do niej szukając w niej pociechy, której świat grzeszny, owo "państwo ziemskie", nigdy nie potrafi podać, ale którą nam daje "państwo Boże", po pielgrzymce doczesnej, w przyszłym życiu: "Talis salus, quae in futuro erit saeculo, ipsa erit etiam finalis beatitudo".

LUBICZ

KSIĄŻKI NADESŁANE

WIERNE PŁOMIENIE. Poezje bezimiennych poetów lwowskich. Przedruk z oryginału odbitego w tłoczni Dr. Apaka we Lwowie, ul Gen. Mączyńskiego, w 1943 r. *Londyn* 1946. *Nakładem Związku Ziem Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej.* Stron 39.

Jerzy Kuncewicz: O PEŁNE WYZWOLENIE CZŁOWIEKA. *Londyn* 1946. *Światowy Związek Polaków z Zagranicy.* Stron 216. Cena 12s. 6d.

Jan Kielewicz: W ODMĘCIE WALKI. *Rzym*, 1946. *Nakładem Oddziału Kultury i Prasy II. Korpusu A.P.* Stron 156.

Leon T. Walkowicz: WINCENTY WITOS JAKO CZŁOWIEK I POLITYK. Z okazji 71-ej rocznicy urodzin wodza ludu polskiego. *Chicago*, 1945. *Nakładem przyaciół amerykańskich "Chłopa z Wierzchosławic."* Stron 30.

Walerian Baranowski: DOKĄD LUDZKOŚĆ DĄŻY. *Hamburg-Bruksela. Nakładem autora.* Stron 152.

LISTY DO REDAKCJI

(*Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy*).

PRZESZŁOŚĆ

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Jerzy Pietrkiewicz, w rozważaniach o "Patriotyźmie Wspominkarskim", ogłoszonych w nrze 1/96 "Myśli Polskiej", wywołując w trafnych określeniach okazy wspominkarza-samotnika, tego co to zawsze miał słuszność, wspominkarza-naukowca, któremu życie zawsze potwierdza co sobie kiedyś i raz na zawsze ustalił jako prawdę, wspominkarza-proroka, który w ogóle z góry nagina przyszłość do swych rojeń, czyli zajmując się wspominkarstwem chorobliwym, mówi znowuż trafnie:

"Wspólnota wspominkarzy jest jednak wspólnotą szpitalną".

Gdy do tych właśnie słów nawiązane są bezpośrednio określenia już nie takie jak wspominkarz, wspominkarskie i wspominkarstwo, które z samego brzmienia mogłyby ograniczać się do objawów ujemnych, ale i ogólniejsze, jak odwrót w zaspakajającą przeszłość lub wogóle wspomnienia, nasuwa się myśl, że w tej szerzej pojętej skłonności do wspomnień i nawrotach myśli do przeszłości tkwić może również bardzo zdrowy objaw tęsknoty właśnie do . . . zdrowia:

Litwo, Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił . . .

Skoro zaś "Pan Tadeusz", ten twór nad twory wspomnień i spojrzenia w przeszłość, niewiele podobno zaszkodził zdrowiu duchowemu ówczesnych wygnańców i wychodźców, a potem pokoleniom polskim przez wiek cały, a teraz znowu wychodźcom i wygnańcom dzisiejszym, trzeba mieć i w tym zagadnieniu na oku także tę drugą, a raczej pierwszą stronę obrazu, przyrodzoną i zdrową, a nie zboczoną i schorzałą.

Spojrzenie w przeszłość niekoniecznie zaciera i zaciemnia, lecz i rozwidnia, jak właśnie o "Panu Tadeuszu" mówi Słowacki:

Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica . . .

Mówimy więc o dwu różnych rzeczach: p. Pietrkiewicz o niektórych ujemnych właściwościach wspominkarstwa i odwrotów w przeszłość, a ja kilka słów, jeśli wolno, o niewątpliwych zaletach i potrzebie wspomnień i oparcia myśli o przeszłość.

Może nie przeciwieństwa ale różnice między ludźmi w wieku dojrzewania a ludźmi w wieku przejrzewania, jak to określa p. Pietrkiewicz, są zjawiskiem dosłownie starym jak świat i nie potrzeba go odkrywać, przyrodzonym i nie trzeba nikogo o nie obwiniać, a zapewne, jak wszystko przyrodzone, twórczym i nie ma powodu na nie się zżymać, nawet gdy się je nazywa, w sposób raczej utarty niż ścisły, sporami między starymi a młodymi, z których wyłaniają się zwykle nowe wartości. Poza tą różnicą przyrodzoną i płodną, już nawet granica wierzeń, przekonań, poglądów nie biegnie zazwyczaj między starymi z jednej strony a młodymi z drugiej strony, lecz między jednymi-starymi i młodymi z jednej strony a innymi starymi i młodymi z drugiej strony. Nadto zaś ani z nauki ani z doświadczenia nie wynosi się pospolicie wrażenia, jakoby niezrozumienie młodszych przez starszych istniało w większej mierze niż niezrozumienie starszych przez młodszych. Z rozpiętością wieku, jak z rodzeniem się i umieraniem, najlepiej przeto pogodzić się wogóle bez sporu.

Wyjątkowość, jak mówi p. Pietrkiewicz, dzisiejszego pokolenia ludzi wychowanych w Polsce wolnej, nie wydaje mi się pewnikiem. Nietylko dlatego, że niemal każde młode pokolenie uważało się zawsze, z takich czy siakich względów, za właśnie wyjątkowe, co wiąże się z tą prawdą, jak mówił Stanisław Szczepanowski, że każda chwila w dziejach ludzkości jest równie ważna, gdyż w każdej cała przeszłość styka się z całą przyszłością. Również dlatego, że trudno dostrzec, dlaczego by ludzie, którzy dążyli całą istotą swego życia do wolności i następnie w niej nadal działali, mieli mniej doskonałe i pełne jej poczucie niż ci, którym brak tej pierwszej części przeżycia. To jednak pewna, iż tętno zdarzeń obecnych stwarza wyjątkowość tej doby, dostrzegalną, zapewniam, starszym nie gorzej niż młodszym.

Otóż w tych wyjątkowych czasach — a nie wyjątkowemu pokoleniu — ostatnią rzeczą, którą śmiałbym zalecać, byłoby odrywanie się od przeszłości.

Naprzód dlatego, że przeszłość powszechna, a wraz z nią tysiącletnia przeszłość polska, jest skarbnicą prawd, nauk i wzorów, których nie zaćmi pomysłowość najbardziej wyjątkowego pokolenia, a co więcej, bez których twórczość tego pokolenia, która jest wcale nie jego przywilejem lecz jego prawem i obowiązkiem, byłaby niezaradna i ułomna.

Następnie zaś dlatego, że najdzikszym i najgroźniejszym objawem naszych czasów jest pycha, tak nacjonal-socjalistyczna niemiecka jak wcześniejsza od niej i bardziej żywiołowa bolszewicka rosyjska, burzenia wszystkiego, z dwutysiącleciem chrześcijaństwa włącznie, pod hasłem rzekomego tworzenia nowego świata.

Chcą nas wyrwać z naszej przeszłości i dawności: nie dajmy się wyrwać z naszej przeszłości i dawności.

W tej zasadniczej postawie wobec przeszłości, liczącej się na stulecia i tysiąclecia, mało już waży czy ktoś liczy sobie dwa lub trzy krzyżyki czy pięć lub sześć krzyżyków,

Łączę wyrazy szacunku

STANISŁAW STROŃSKI.

Londyn, d. 20 maja 1946 r

ROLA STRONNICTWA NARODOWEGO

Szanowny Panie Redaktorze,

Czy wolno nie-członkowi Stronnictwa zabrać głos na temat drażliwy, bo dotyczący sprawy, w której tylko członkowie mają prawo się wypowiadać — a mianowicie charakteru i stosunku Stronnictwa Narodowego do osób, które w przeszłości do innych ugrupowań należały?

W Polsce, moim zdaniem, stronnictwa rządzące t.j. ludowcy przed majem, sanacja po maju, znowuż ludowcy po wrześniu, a teraz P.P.R. otwierały i otwierają swe wrota aż zbyt szeroko i w rezultacie przyciągają wszy-

stkich karierowiczów, aferzystów, ludzi bez kręgosłupa a nieraz i pospolite szuje. Natomiast stronnictwa nie będące u władzy miały i mają tendencję do wytwarzania omal że zamkniętego zakonu, ściśle ezoterycznego związku, w skrajnych wypadkach kapliczki partyjnej; i tym, którzy do tego grona nie należeli niemal od ławy szkolnej, a w każdym razie uniwersyteckiej, dostęp do takiego grona wydaje się trudny, jeżeli nie niemożliwy. Nasz podział partyjny jest zbyt sztywny, hermetyczny.

Trzy po temu są powody. Po pierwsze mamy zbyt dobrą pamięć i przypisujemy nadmierne znaczenie wypadkom i poglądom z lat nawet bardzo odległych. Wszak niedawno pisarz tak bystry, jak mój przyjaciel p. Stanisław Mackiewicz nie uważał za ośmieszające przytaczać jako argument przeciwko jednemu z naszych polityków, że w roku 1905 (!) należał on do takiego to a takiego ugrupowania, a zatem i.t.d. Po drugie wkraczamy do szranek życia politycznego zbyt młodo: przynależność do Zetu, czy innej organizacji na uniwersytecie zamiast być epizodem jak w Oxfordzie staje się sztandarem, herbem, zawołaniem i znakiem masońskim na całe życie. Po trzecie wszystkie nasze spory tkwią zbyt silnie w przeszłości, za mało w teraźniejszości, a niebudujący widok różnych łobuzów, którzy w parę pacierzy przechodzą z jednego do drugiego stronnictwa rządzącego — z ludowców do sanacji, znowuż do ludowców i wreszcie do Bieruta — wywołuje naturalną zapewne, ale jednak szkodliwą reakcję — zbytni szacunek dla ludzi, którzy swych poglądów nie zmieniają nigdy.

Dopiero ostatnia wojna zatarła w naszej świadomości rozdział na aktywistów i passywistów, który stracił wszelki sens już w 1919 r. a jednak przez lat 20 wykrzywiał nam stosunki polityczne; czy znowuż mamy czekać 20 lat na wykruszenie się czysto historycznych sporów, które wciąż jeszcze dzielą narodowców i piłsudczyków, czy mamy upierać się przy czystości naszych filiacji ideowych?

Piszę jako mohikanin polskich konserwatystów. Było ich zawsze bardzo mało, dzisiaj już wymarli prawie w komplecie, poza tym nie ma dzisiaj nic w Polsce do konserwowania, przeciwnie trzeba w niej wszystko wywrócić. Może dlatego odczuwam szczególnie żywo potrzebę zcementowania — w obrębie większego obozu niepodległościowego—wszystkich sił umiarkowanych, czy może powiedzmy niesocjalistycznych. Że klasa robotnicza w nowożytnym państwie musi uzyskać większy i coraz większy wpływ na rządy — to jest jasne dla każdego i to się odbywa nawet w super-kapitalistycznej Ameryce. Niekoniecznie wszakże ten wpływ ma przybierać formę socjalizmu, choćby tak patriotycznego jak P.P.S. Tomasza Arciszewskiego. Poza kwestiami płac, nacjonalizacji przemysłu i.t.d, istnieje pewne quantum imponderabiliów które nie znajdują zaspokojenia w światopoglądzie socjalistycznym, jak religia, tradycja i.t.d. Widzimy, jak wszędzie w Europie siły te się organizują i zwykle uzyskują przewagę wyborczą pod nazwą takich, czy innych partii katolickich. W Polsce Chrześcijańska Demokracja — od początku osłabiona fatalnym doborem przywódców, a dziś do reszty zgrana w opinii przez ponurą postać p. Popiela — nie może pretendować do tej roli katalizatora ugrupowań niesocjalistycznych. Tym mniej oczywiście rolę tę może spełnić Stronnictwo Ludowe p. Mikołajczyka, który za parę (fałszywych) srebrników (dokładnie 3 teki i trzy ambasadki dla swych przyjaciół i agentów, Strasburgera, Kota i Drohojowskiego) sprzedał Polskę w Moskwie, zaprzepaszczając dzieło i tradycję Rataja i Witosa. Jasnym jest dla mnie, że Stronnictwo Narodowe stanowić winno naturalny trzon dookoła którego skupiać się może część niesocjalistyczna naszego obozu niepodległościowego.

By jednak to zcałkowanie przybrało formy bardziej konkretne, a stąd i bardziej skuteczne, muszą nowi neofici, czy sympatycy Stronnictwa mieć świadomość, że rola ich nie jest rolą katechumenów, czy dawnego skartabellatu polskiego. Odrodzenie swe w Anglii Kościół Katolicki zawdzięcza warunkom, które stworzył dla konwertytów: ex-anglikańskich duchownych — Newmana, Manninga i.t.d. — nie zawahał się wynieść aż do kardynalskiej purpury. Może Stronnictwo mogłoby rozważyć rzuconą tu myśl? Mógłbym ją poprzeć wieloma ilustracjami, przytaczając nazwiska i.t.d. — ale może lepiej zaufać domyślności czytelników? Zachowanie balansu między starą gwardią i wypróbowaną wiarą a konwertytami, liczebnie zawsze słabszymi, lecz zato wnoszącymi inne, może nawet ważniejsze od ilości, walory będzie zawsze zadaniem trudnym; ale na szczęśliwym rozwiązaniu tego dylematu właśnie polega talent polityczny. Ufam, że go Stronnictwu nie zabraknie.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i poważania

KRZYSZTOF NIENASKI

Londyn, 24 maja 1946 r.

W KRZYWYM ZWIERCIADLE

PRZEPIS NA POWIEŚĆ WARSZAWSKĄ (ANNO 1946)

Podług Fraszki C.K. Norwida

Weż szabrowników figur trzy — przepiłuj,
Będzie sześć — dodaj hrabiów z ekonomem,
Zamieszaj piórem, albo batem wyłój,
I dolej wody, aż stanie się tomem —
Zagrzej pod patos, ideę wyżyłuj —
I starą pannę, zrumienioną sromem,
Jak rzodkiew zanurz, — dla intrygi krótszej
Dodaj wór rubli, zamieszaj i utrzyj!

Z AKCJI WYDAWNICZEJ

Warszawska firma wydawnicza "Czytelnik" planuje w najbliższym czasie przedrukowanie kilku klasyków literatury polskiej. Na liście znajdujemy następujące tytuły: Mickiewicz: "Obywatel Tadeusz"; Sienkiewicz: "Obywatel Wołodyjowski"; Fredro: "Śluby Obywatelskie"; Weyssenhoff: "Soból i Obywatelka".

*

W Londynie po dziele "Straty kultury polskiej" ukaże się obszerny tom p.t. "Zdobycze kultury polskiej". Oto treść planowanej publikacji:

Tymon Terlecki: "Proroctwa Z. Grabowskiego w świetle Wielkiej Emigracji"; Z. Grabowski: "Różnice i podobieństwa między Tymonem Terleckim i Adamem Mickiewiczem" (szkic specjalnie napisany dla Anglików); St. Stroński: "Moja jeneralna wyprawa z Jenerałem" (wspomnienie); K. Zbyszewski: "Fajtek Chłopicki i klempa Deotyma" (studium estetyczne o XIX wieku); K. Wierzyński: "Geniusz Lechonia"; J. Lechoń: "Geniusz Wierzyńskiego"; St. Baliński: "Imieniny Babci czyli Tort z Kawiarni Bliklego" (epos w pięciu pieśniach o Warszawie, cały rymowany); M. Grydzewski: "Spis rzeczy".

X.Y.

DO PRENUMERATORÓW

Wobec podwyższenia ceny "Myśli Polskiej" od czasu jej wznowienia zwracamy się do naszych czytelników, którzy wpłacili przedpłatę według dawnej wysokości, aby począwszy od Nr. 96 zechcieli dopłacić różnicę wynoszącą s. 1/- za każdy numer.

Obecny numer "Myśli" wychodzi jako podwójny (98-99) za maj i czerwiec. Cena tego numeru wynosi 3s. Następny numer ukaże się w początku lipca.

Czytelnicy, którzy zalegają z opłatą prenumeraty co najmniej za trzy miesiące, narażają się na wstrzymanie wysyłki "Myśli" bez osobnego zawiadomienia.

Administracja.

NOWY PODRĘCZNIK

Arthur Melville Clark, assisted by **May A. Duthie** and **R. K. Underka, Colonel P. F.** SPOKEN ENGLISH. An Idiomatic Grammar for Foreign Students. *Edinburgh-London*, 1946, *Oliver & Boyd*. Stron XIX i 264. Cena 12 s. 6 d.

Bardzo dobry podręcznik gramatyki dla cudzoziemców, posiadających już pewną znajomość jezyka angielskiego. Jego wartość praktyczna polega zarówno na przejrzystym układzie (pomocny jest tu szczegółowy spis rzeczy), jak na wielkiej liczbie przykładów. Każda reguła gramatyczna ilustrowana jest słowami lub zdaniami zaczerpniętymi z mowy potocznej. Na uwagę zasługuje też dział "idiomów" przy końcu książki.

Treść *Nr.* 98-99 (*Rok* VI, *Nr.* 3-4) **"Myśli Polskiej":**

"MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i Administracja:
24, Wellington Road, St. John's Wood, London, N.W.8. Tel. PRImrose 4350

Prenumerata półrocznie (6 numerów) 12s. lub $4.
Prenumerata roczne (12 numerów) — £1 4s. 0d. lub $8.